№ 21 Warszawa, dnia 9 (21 Maja) roku 1881

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

PODCZAS BALU.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE,

Edwarda Paillerona.

Wolny przekład

SEWERYNY DUCHIŃSKIEJ.

OSOBY:

Aniela.
Lucyna.

(Noc. Mały salonik: drzwi podwójne w głębi, inne po bokach: kanapa, fotele, wielki stół w środku sali. Słup marmurowy między stołem a murem. Aniela i Lucyna wchodzą drzwiami w głębi; strój ich balowy, na głowach błądynowe mantyle. Każda z nich trzyma w ręku zapalony stoczek. Stawiają go na stole. Scena oświetla się; z przyległej sali dobiega muzyka balowa.)

ANIELA, LUCYNA.

ANIELA *(smutno)*.

Nieszczęście!

LUCYNA *(żywo)*.

Zbrodnia raczej! Któż to pojąć zdoła?
Ledwie, że się zabawa poczęła wesoła,
Nas jak dzieci maleńkie wyproszono z sali!

ANIELA.

Mnie za to żem pobladła...

LUCYNA.

Mnie znów lica pali
Zbyt jaskrawy rumieniec, i to szkodzi mamie!

ANIELA.

Panna młoda błagała...

LUCYNA.

Któż opór przełamie,
Gdy mama jakiś zamiar przypuści do głowy!
Ja ojca słodziuchnemi zaklinałam słowy...
Czasami to pomaga...

ANIELA.

Inaczej tym razem...

LUCYNA.

Na łzy moje na prośby stał się martwym głazem!
(Muzyka ożywia się w przyległej sali.)
Jak tam idzie zabawa!... Co czynić Anielo?

ANIELA.

Spać!

LUCYNA *(z uniesieniem)*.

Mnie spać! gdy szalenie drudzy się weselą!
Gdy muzyka rozkosznie do ucha mi wpada!
Gdy woń kwiatów czaruje... słyszysz, galopada!

ANIELA.

Nie, to polka-mazurka, słodkoż myśl kołysze...

LUCYNA.

Jak wytworna ta młodzież!... głos ich jeszcze [słyszę,
— „Pani walca pozwoli"... — „chętnie"..., — przer- [wy chwilka,
Wirujemy w krąg sali... i znów... słówek kilka!

ANIELA.

Przepadł nasz kotilijon... powiedz czy się godzi?

LUCYNA *(żywo)*.

Przepadła i wieczerza — ojciec mnie zagłodzi!

ANIELA.

Bal nadzwyczaj był piękny...

LUCYNA.

Piękniejszy od wielu.
Jedyny to promyczek jasny w tem weselu
Tak bardzo niedorzecznem...

ANIELA.

Sądzisz nazbyt ostro!...

LUCYNA.

Niedorzecznym powtarzam... sama powiedz siostro,
Iść za starego wdowca!

ANIELA.

On jeszcze dość młody.

LUCYNA.

Lecz ona go nie kocha, mam na to dowody,
Wzdychała przed ołtarzem i przez welon biały,
Widziałam jak łez krople z jej powiek spadały.
Ja płakać na mym ślubie nie będę!...

ANIELA.

Zobaczém...

LUCYNA.

Jakkolwiek to się stanie ze śmiechem czy z pła- [czem,
Nikt mnie w tym dniu przynajmniej nie wypłoszy [z sali.
Ten dzień, jakże mi jasno przyświeca z oddali!
Gdyby rychło ta zorza słoneczkiem się stała,
I ty radabyś pewnie.

ANIELA *(słodko)*.

Ja... będę czekała,
Aż przyjdzie na mnie kolej, cierpliwie i w ciszy...

LUCYNA *(naśladując głos siostry)*.

Cierpliwie!

(Żywo.)

Mówże prawdę, tu nas nikt nie słyszy,
Jakiego pragniesz męża?

ANIELA.

Naprzód pragnę szczerze,
Zaczem mnie na małżonkę wśród innych wybierze,
Aby kochał mnie długo, siłą duszy mężkiej

A nie przybierał wcale postawy zwycięzkiej,
Lecz zdaleka, nieśmiałem gonił mnie spojrzeniem,
Gdziekolwiek się obrócę, był zawsze mym cieniem...

LUCYNA.

Ma być brunet? czy blondyn?

ANIELA.

Brunet, smagłe lica,
Twarz myśląca i blada jak promień księżyca.

LUCYNA.

A jakież ma wsród ludzi zająć stanowisko?

ANIELA.

Rzecz dla mnie obojętna... wysoko, czy nisko,
Byle mnie kochał tylko, pójdę za nim wszędzie...

LUCYNA.

A ja, godność światową mam także na względzie,
Zaślubię jenerała.

ANIELA.

Jenerał za stary!

LUCYNA.

Tem lepiej, to rękojmia że nie złamie wiary.

ANIELA.

Żołnierz... ręką żelazną wodze w domu trzyma.

LUCYNA.

Łatwo zręcznej kobiecie ugłaskać olbrzyma.
Patrz na wuja, z tą wstęgą na szyi czerwoną,
Ma głos rozkazujący i brew najeżoną,
Niejeden zadrżał przed nim, a dla naszej ciotki,
Posłuszny istny wyżeł, jak baranek słodki!
Pięknież to w dzień parady błyszczy mundur [świetny,
W pióropuszu na głowie, czartby nawet szpetny
Wypiękniał!... a muzyka... a sztandar półkowy...
Miło żyć w garnizonie... co dnia tryumf nowy,
A choćby śmierć go miała oderwać od ciebie;
Z Inwalidów sto armat huknie na pogrzebie!

ANIELA.

Tyś szalona! ja myślą uganiam z zapałem
Poetę goniącego wciąż za ideałem,
Co skrzydłami ogarnia światy coraz szersze,
Co pieśnią cudotwórczą...

LUCYNA (*kwaśno*).

Pocóż znów te wiersze!

ANIELA.

By miłość i niebiosa godnie uczcić niemi.

LUCYNA.

Gońże ty po lazurach, mnie lepiej na ziemi!
Toczyć spory o gusta, alboż nam wypada?
Tobie wiersze, mnie milsza wojskowa parada.

ANIELA.

Kiedy mgła blady rąbek roztoczy na borem,
Błogo nam w cieniu dębow podumać wieczorem.

LUCYNA.

Strach mnie bierze, za wami nie pójdę ja w ślady,
Los twój dla mnie za czarny, poeta za blady...
Jeźli nie jenerała, to ministra może
Wybrałabym za męża...

ANIELA.

Ministra? broń Boże!
Raz wraz ich przemieniają, żaden nad dwa lata
Nie piastuje swej teki...

LUCYNA.

Lepszy dyplomata!

ANIELA.

Pozostaw dyplomatę... ah! on cię zanudzi!

LUCYNA.

Pragnę się mężem moim poszczycić wśród ludzi...
Sędzia!...

ANIELA.

I ten za stary...

LUCYNA.

Szkarłat świeci pięknie!

ANIELA.

Głowa od sennych marzeń ledwie mi nie pęknie.
Ten, z czyjemi się losy, me losy podzielą,
Ten, co powie mi pierwszy: „kocham cię Anielo!"
Za kim wciąż myśl i serce tak uroczo goni,
Co mnie porwie spojrzeniem i uściskiem dłoni,
Kiedy? ah! może jutro... gdzie? i któż to zgadnie?
Ten, co wnet tak zwycięzko mem sercem zawładnie,
Ideał ku któremu pierś tajemnie wzdycha,
Lecz nie umie i nie śmie wymienić go ścicha,
Ten przyjaciel... ten pan mój... wszak nie znam go [jeszcze...
To rzecz straszna Lucyno.

(*Muzyka ustaje.*)

LUCYNA.

Brr.. zbiegły me dreszcze.
Jeśli ma zostać panem, nie śpieszmy się raczej,
Nie wiem kogo mi przyszłość na męża przeznaczy,
Lecz to mogę zaręczyć śmiało, słowem szczerem,
Że mąż podobien temu, co jest bohaterem
Dzisiejszego wesela... taki wdowiec szpetny
Mej ręki nie otrzyma...

ANIELA.

To człowiek szlachetny,
Dobry jak wszyscy mówią...

LUCYNA.

Dobroć rzecz niemała,
Lecz ten nos pałkowaty, cera ogorzała,
Te oczy wyłupiaste i włos najeżony,
Jak u naszego pudla, i ów kark czerwony
Istny indyk! słów kilku nie wypowie gładko,
Drżał jak liść, gdy rozmawiał z przyszłej żony [matką,
A gdy mer silnym głosem wyrzekł przy obrzędzie
„Żona mężowi swemu niech posłuszną będzie,
W sali zapanowała taka cisza głucha,
Nikt nie śmiał, nic drugiemu poszepnąć do ucha,
Tylko nasz wuj jenerał spojrzał w bok ukosem,
Rozśmiał się: „bajże baju!" wybąknął pod nosem.

ANIELA.

Prawo tego wymaga... ileż to słodyczy
Kochać i być posłuszną!...

LUCYNA.

To się męża tyczy.
Być kochaną, zagadka dla kobiety cała...
Panna młoda wybornie rzecz tę zrozumiała.
Zbiegła jednym poskokiem jak rybka przed wędką,
Słyszałam jak wyrzekła „t a k", cicho i prędko,
I zagryzła usteczka, a wdowiec tymczasem,
Skinął głową: „t a k p a n i e!" odpowiedział basem.
Gdy mówił, dwie łzy wielkie spadły mu z pod [powiek.
Widziałam je na oczy...

ANIELA.

Zląkł się biedny człowiek.

LUCYNA.

Czego? wszak doświadczenia nabrał przez wiek [długi,
On wdowiec... toć przed merem staje po raz drugi!

ANIELA.

Wyrzec „t a k" zda się łatwo, lecz w tem jednem [słowie
Spoczywa tajemnica, kto je raz wypowie
Zerwał z całą przeszłością... nie bańka to pusta!
Zobaczymy jak tobie zbieży „t a k" przez usta...

LUCYNA.

Bądź spokojna... to słowo nie zdławi mnie wcale,
Obowiązek przed merem spełnię doskonale!
Sprobujmy!

ANIELA.

Z taką sprawą żarty nie na dobie

LUCYNA.

Naśmiejem się do woli, ja ślub daję tobie,
Ty mnie potem... jest wszystko: stół w pośrodku [sali,
Dwa krzesła wysunięte, inne nieco dalej.

(*Ustawia przedmioty w miarę jak je wymienia.*)

Kodeks praw, lecz popiersia nie ma, cóż uczynię?
Brawo! tam biust Minerwy stoi na kominie!

(*Zdejmuje biust z komina, stawia go na półce po za stołem.*)

Podobieństwo niewielkie, lecz to nic nie znaczy,
Co lat kilka popiersie wygląda inaczej!

(*Wskazuje krzesło blizko stołu.*)

Siądź-że tu panno młoda... lecz jak mera stworzę.

(*Ukazuje słup, na którym stoi świecznik.*)

Ha! ten słup marmurowy zastąpić go może,
Przysuńmy go i szarfą opaszmy w około.

(*Zdejmuje z głowy mantylę, opasuje nią słup.*)

ANIELA.

Gdyby kto wszedł!

LUCYNA (*ukazując drzwi sali*).

Zabawa idzie tam wesoło!
Przed porankiem nikt sali nie rzuci balowej...
Poczekaj, nowy koncept przyszedł mi do głowy,
Ja sama będę merem, tu za stołem stanę,
Ten kloc już niepotrzebny, pchnijmy go pod [ścianę.

(*Odsuwa słup, obwija w koło siebie mantylę i staje za stołem.*)

Dobrze!

(*Grubym głosem.*)

Panno Anielo, po woliż to twojej
Wziąć pana X za męża?

(*Chwila milczenia.*)

ANIELA.

Nie śmiem...

LUCYNA.

Jak się boi!
Przecież tu nikt nie słyszy... odpowiedz.

ANIELA (*słodko*).

Tak, panie.

LUCYNA.

Wyrzec „t a k" snać niełatwe dla ciebie zadanie!
Czekaj, ja cię nauczę... niech rzecz zmieni postać,
Ja będę panną młodą, ty merem masz zostać.

(*Aniela staje za stołem, Lucyna przechodzi na przód.*)

Bądźże majestatyczna i dumna jak prawo!
Gdy przybliżysz się do mnie, ja niby z obawą
Spuszczę oczy ku ziemi, stać będę jak z głazu...

(*Słowa swoje dopełnia mimiką.*)

Dopóki ostatniego nie rzekniesz wyrazu.
Potem skłonię się lekko, z niezbyt korną miną,
I odpowiem... zacznijże... mów...

ANIELA *(grubym głosem).*

Panno Lucyno!
Chceszli pojąć za męża pana X?

LUCYNA *(zrazu pochylając głowę i podnosząc ją potem).*

Tak panie!

ANIELA.

Zbyt śmiało!...

LUCYNA.

To przed merem, ale gdy się stanie
U ołtarza, w kościele — inna rzecz mój Boże!
Wtedy, choć tak odważna, pewno się zatrwożę!
(Muzyka zaczyna znów przygrywać w sali.)

ANIELA.

Drzwi na oścież rozwarto... ołtarz jasno świeci,
Zda się Bóg woła na nas: „chodźcie do mnie [dzieci!"
Dzwony biją spiżowe, zagrzmiały organy,
Aż się okna zatrzęsły, drżą przybytku ściany,
Potem cichną akordy, z myrry słodką wonią
Brzmi hymn V e n i C r e a t o r i głowy się [kłonią,
Jakaś radość nadziemska twą duszę weseli,
O nadziei do ucha szepczą ci anieli,
Sama nie wiesz gdzie jesteś, na ziemi, czy w niebie,
Gdzie spojrzysz oczy wszystkich zwrócone do [ciebie.
Pod tych wrażeń nadmiarem twe czoło się chyli,
O! jabym nie przeżyła tak uroczej chwili,
Umarłabym zapewne...

LUCYNA.

Ah! umierać szkoda!
Tak szaloną nie była jeszcze panna młoda,
By w grób uciec przed balem.

ANIELA.

Jak to dziwnie w sercu
Kiedy nogę postawim na ślubnym kobiercu.
Trudno wnijść...

LUCYNA.

Odejść trudniej!... — jak się zwykle zdarza,
Najstarszy z rodziny wiedzie do ołtarza,
Bezpiecznie na dziadunia wesprzeć się ramieniu,
Wszystko się tu w poważnem odbywa milczeniu.

ANIELA.

Od kruchty do ołtarza nie daleko przecie!

LUCYNA.

Sprobujmy... ja dziaduniem: daj mi rękę dziecię —
(Bierzę Anielę za rękę.)
Bum! bum! bum! biją dzwony!

ANIELA *(pokazując niby tłum).*

Patrz, chmara się tłoczy!

LUCYNA.

To nic, masz przecie welon spuszczony na oczy —
(Układa jej mantylę na głowie.)
Chodź teraz —
(Aniela idzie.)

LUCYNA *(patrząc na nią).*

Nie tak prędko, lekko a powiewnie!
Jak ja...
(Idzie pomału.)
Dziś każdy ciebie radby widzieć pewnie.
(Aniela idzie naśladując siostrę.)
Dobrze tak... ja ci mówię, wnijście to rzecz mała,
Wyjść trudniej, każdy z oczu pozna żeś płakała.
Twój welon już pomięty, odrzucony z twarzy,
Twa cera trupia, blada, lub ogniem się żarzy,
Tłum ciśnie się do ciebie każdy wzrok wytęża,
By cię ujrzeć opartą na ramieniu męża,
Bądź co bądź każdy łatkę do ciebie przyczepi,
Nie wiesz czy być wesołą, czy smutną być lepiej,
W zakrystyi znów ciężka zaczyna się praca,
Tam każdy z komplementem do ciebie się zwraca,
Nie dość ścisnąć za rękę, albo skinąć głową,
Każdemu grzeczne musisz odpowiedzieć słowo.
Ta pani od zazdrości żółta jak cytryna,
Bo snuła jakieś skryte widoki dla syna,
Życzy ci pomyślności, lecz usty zwiędłemi
Szepcze: ah stałe szczęście czyż potrwa na ziemi?
Zbytecznie ufać w przyszłość, to rzecz bardzo [zdradna!"
Inny głos szepnął z boku: „doprawdy niezładna!"
Ty to słyszysz biedaczko i ściśnięta w kleszcze,
Musisz wszystkim dziękować, i całować jeszcze,
Patrzeć słodko na tego, kto w tobie wstręt budzi,
A to zowie się przecie weselem u ludzi!
Ależ to rzecz okropna, męczarnia prawdziwa!

ANIELA.

Smutny dzień, gdy wzrok ludzki na jaw wydobywa
Drogi skarb na dnie duszy ukryty dziewiczej,
Kiedy uczucia nasze ocenia i liczy,
Jak perły w naszyjniku, czy też warte wiele?
Ah! lepiej na pustyni odprawić wesele!

LUCYNA.

Lecz tam nie ma orkiestry — słyszysz...
(Muzyka ożywia się.)

ANIELA.

Co nam potem!

LUCYNA.

To walc. —

ANIELA.

Niech wirują chyżym kołowrotem.

LUCYNA.

Czegoś tak posmutniała?
(Przysłuchując się muzyce.)
Potańcujmy oto!

ANIELA.

Jam zmęczona...

LUCYNA.

A jabym pląsała z ochotą —
Do białego poranku... chodź...
(Chcę ją wziąć do tańca.)

ANIELA *(opierając się).*

Nie pójdę wcale.

LUCYNA *(z naleganiem).*

Proszę mnie wziąć do tańca panie jenerale!

ANIELA.

Daj pokój...

LUCYNA.

Choć jednego walczyka...

ANIELA.

Nie mogę.

LUCYNA *(porywając siostrę, i obiega z nią salon tańcując mówi do niej).*

Cóż to, czy masz podagrę, upadasz na nogę?
La, la, la, teraz lepiej... wybornie Anielko!
W tym wirze, moje serce czuje radość wielką,
Jaką czuje ptaszyna gdy lotnemi pióry,
Ubiega z ranną rosą w powietrzne lazury —
O jakże to przyjemnie bujać po nad światem.

ANIELA *(walcując).*

Dość już...

LUCYNA.

Ah! jeszcze... jeszcze...

ANIELA.

Przestańmy już na tem.

LUCYNA.

Poziewasz? czy podobna — starość niby bliska,
Zbyt wiele krwi twej zbiegło na pobojowiska.

ANIELA.

Brak mi tchu... dość.
(Wyrywa się z objęć siostry i upada na fotel.)

LUCYNA.

Na ziemię spaść muszę z błękitu!
Jabym rada wirować chociażby do świtu.

ANIELA *(biorąc stoczek).*

Co do mnie, ja spać wolę...

LUCYNA.

Któraż to godzina?
Nigdzie nie ma zegaru —
(Idzie do okna i odsuwa firankę.)
Czy widzisz, mgła sina
Do góry tam kłębami wybiega od rzeki!
(Bierze stoczek.)

ANIELA.

I cóż ztąd?

LUCYNA.

Noc skończona, ranek niedaleki —

ANIELA *(ziewając).*

Dobrze to, że dziś inna, nie ja panną młodą.

LUCYNA.

I nas obie niedługo do ślubu powiodą.

ANIELA.

Dobranoc ci Lucynko —

LUCYNA.

Dzieńdobry Aniele!
(Ściskają się obie.)
Słyszysz... zmilkła muzyka... skończone wesele —
Żadna z nas pannie młodej szczęścia nie za- [zdrości...

ANIELA *(wchodząc we drzwi na prawo.)*

Idź dumaj o małżeństwie.

LUCYNA *(wchodząc we drzwi na lewo obraca głowę.)*

Ty, marz o miłości!

PRUSACY W FRANKFURCIE.

przez

ALEKSANDRA DUMASA.

przekład

J. B.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Pracownia Kaulbach'a.

Tegoż dnia wieczorem Benedykt zaniósł swoje obwieszczenie do dziennika Hanowerskiego i zostawił w mieszkaniu Kaulbach'a list rekomendacyjny, wraz ze swoim biletem wizytowym, na którym napisał ołówkiem: *Będę miał zaszczyt przedstawić się jutro.*

Stosownie do odebranego rozkazu, nazajutrz o jedenastej Lenhart zajechał, gdyż dnia tego Be-

nedykt miał oddać dwie wizyty: jedną z podziękowaniem panu Bodemeyer, drugą słynnemu malarzowi Kaulbach'owi.

Kaulbach mieszkał na krańcu miasta, przy placu Waterloo, w ślicznym domku, który kazał wybudować dla niego król hanowerski. Najpierw udał się do mieszkającego w pobliżu pana Bodemeyer. Odbijano właśnie ostatnie numera „Gazety Hanowerskiej"; redaktor dał mu jeden egzemplarz, z którego przekonał się, że obwieszczenie jego zostało wydrukowane. Ponieważ „Gazeta Hanowerska" miała 300 prenumeratorów w Berlinie, z których trzydziestu utrzymywali kawiarnie i cukiernie, mógł więc być pewnym, że zawiadomienie jego prędko się rozgłosi. Gazeta zostanie wysłana pocztą o pierwszej, przyjdzie do Berlina o szóstej, a o siódmej zostanie doręczona prenumeratorom.

Jak to zapowiedziała wczoraj „Gazeta Krzyżowa", depesze poranne zawiadamiały o rozwiązaniu Izby, i nie można już było wątpić, iż nazajutrz „Monitor" berliński ogłosi uruchomienie landweru. Z powodu tak ważnych wiadomości „Gazeta Hanowerska" wyszła o godzinę wcześniej niż zwykle. Benedykt pożegnał pana Bodemeyer, doglądającego ekspedycyi gazety, i pojechał do Kaulbach'a.

Aby się dostać na plac Walerloo, musiał przejechać całe miasto; ale dziś dopiero mógł ocenić, przy świetle dziennem, prześliczny budynek w stylu włoskim, z pięknym terasem i peronem w stylu odrodzenia, otoczony ogrodem okolonym kratą żelazną, który król hanowerski darował swemu ulubionemu malarzowi. Drzwi kraty w prost peronu były otwarte, jakby zapraszając przechodni, aby nie omijali gościnnych progów artysty.

Benedykt zadzwonił, otworzył mu służący w liberyi. Widać było, że Benedykt był oczekiwany, gdyż zaledwie wymienił swoje nazwisko, służący skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „już wiem" i zaprowadził go do pracowni swego pana.

— Pan właśnie kończy obiad, rzekł uprzejmie (Kaulbach obiadował zawsze o dwunastej) za chwilę będzie panu służył.

— Powiedz panu niech się nie śpieszy, w pracowni jego nie znudzi mi się czekać choćby najdłużej.

I rzeczywiście wszedłszy pierwszy raz w życiu do pracowni tego najznakomitszego z malarzy ówczesnych niemieckich, Benedykt byłby całe godziny przypatrywał się z zajęciem oryginalnym obrazom, szkicom i kopiom dokonanym przez wielkiego artystę z najsławniejszych obrazów malarzy włoskich, flamandzkich i hiszpańskich.

Kaulbach należał do tych malarzy w których sercach przechowała się wiara; przekonywały o tem szkice i kopie znajdujące się w jego pracowni. Były tam kopie Allerta, Dürer'a, Holbein'a, Łukasza Kranach'a, oraz szkice jego własne, tak prawie wykończone jak oryginały fresków znajdujących się w Muzeum berlińskiem, j. t. *Bitwa Druzów; Rozproszenie ludów; Zdobycie Jerozolimy przez Tytusa; Nawrócenie Witikinda; Krzyżowcy pod murami Jerozolimy.* Było także wiele portretów już wykończonych, oraz inne którym tylko nieco retuszu brakowało. Z tych ostatnich jeden przedstawiający pięć osób, stanowił prawie obraz.

Przedstawiał oficera wysokiego stopnia, w mundurze huzarskim, trzymającego za rękę chłopca od lat 10 do 11, mającego wsiąść na osiodłanego wierzchowca, oczekującego poniżej tarasu; obok oficera tego, siedziała na kanapie kobieta trzymająca na kolanach małą dziewczynkę, druga siedząc na ziemi przy jej nogach, bawiła się pieskiem i różami.

Znać było, że artysta *con amore* pracował nad tym obrazem; albo więc układ podobał się mu bardzo, albo żywił szczególniejszą wdzięczność czy przywiązanie dla przedstawianych osób. To szczególniejsze umiłowanie malowanego obrazu o tyle mu zaszkodziło, że artysta równie starannie jak twarze oddał i wykończył najdrobniejsze szczegóły, co osłabiało pierwsze wrażenie.

Benedykt stał zapatrzony w to piękne płótno, i nie słyszał wchodzącego Kaulbach'a, który przyjrzawszy się wyrazowi twarzy swego gościa, rzekł z uśmiechem.

— Masz pan słuszność, wszystko jest na jednym planie i to stanowi wadę obrazu; to też wziąłem go napowrót do pracowni, nie dla wykończenia, ale dla przyćmienia i odsunięcia niektórych części. Tak jakim jest teraz, obraz ten nie podobałby się publiczności francuzkiej; — pod tym względem popsuł was Delacroix.

— Czy mam to tłomaczyć, że Delacroix nie wykończał starannie swoich malowideł? zapytał Benedykt.

— Broń Boże! Delacroix malował prześliczne obrazy, i nikt więcej ode mnie nie ubolewał nad jego śmiercią; przyznasz pan jednak, że Francuzi, przyzwyczajeni do malowania pp. Girodet, Gérard'a Guerin'a, nieprędko ocenili, jak należało, jego utwory.

— Tak, z początku, ale w końcu oddano mu sprawiedliwość.

— Po śmierci! odrzekł z uśmiechem Kaulbach; tak to zwykle bywa, niestety!

— W żaden jednak sposób nie da się to zastosować do pana; nazwisko jego słynie zarówno we Francyi jak w Niemczech, tu i tam otacza pana ogólne uwielbienie, a przecież, dzięki Bogu, żyjesz i jesteś jak najzdrowszy.

Kaulbach podziękował uprzejmym ukłonem. Miał lat 53; cerę żółtawą, czarne bystre oczy, włosy jego zaczynały siwieć; był nadzwyczaj nerwowy i co zatem idzie, porywczy, wysoki, szczupły, w całej pełni swego rozwiniętego talentu, i można dodać w całej sile wieku.

Obaj przyglądali się sobie ciekawie, nareszcie Benedykt rzekł, uśmiechając się:

— Czy wiesz pan dla czego przyglądam ci się tak bacznie?

— Nie wiem, powiedz pan proszę.

— Probuję odłączyć człowieka od malarza, i zadaję sobie pytanie, jak obok tak dalekich podróży po różnych częściach świata, możesz pan znaleźć czas na malowanie tak wielkich obrazów jak twój: *Handlarz niewolników; Kurtyzanka koryncka paląca swe stroje po wysłuchaniu kazania św. Pawła; Bitwa pod Beiko;* i *Widok Tangeru.*

— Jakto znasz pan moje biedne malowidła?

— Niestety! tylko z opinii; widział je jeden z moich kolegów i bardzo mi je chwalił. Wszak jesteś pan uczniem Ary Scheffer'a?

— I Labot'a, dołożył Kaulbach.

— Byli to dwaj mistrze z jedną potęgą ducha. Ale przedewszystkiem, odrzekł Benedykt, jestem żołnierzem, jestem podróżnikiem, jestem Francuzem — i pozwól mi pan dodać, dzieckiem Paryża.

— Więc to panu zdarzyła się ta nieszczęsna awantura w Berlinie?

— Kto panu mówił o tem?

— Czytałem zawiadomienie pana w „Gazecie Hanowerskiej".

— I nazywasz to pan nieszczęsną awanturą?

— Ma się rozumieć; będziesz pan miał dwa lub trzy pojedynki.

— To źle dla tych z którymi bić sie będę.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, że to trochę dziwne zaufanie w sobie...

— Nie koniecznie, albowiem, opiera się na zasadach pewnej nauki.

To mówiąc odwrócił dłoń i rzekł pokazując ją Kaulbach'owi:

— Patrz pan na tę linię życia która u mnie jest podwójna, — wskazał część dłoni którą chiromancya oznacza nazwą wzgórza Wenus — otóż nie ma tu najmniejszej przerwy zapowiadającej chorobę lub jakiś wypadek; będę żył lat sto, a może nie da się tego powiedzieć o tych z którymi mam się pojedynkować.

— A! prawda, rzekł z uśmiechem Kaulbach, na oddanym mi przez pana liście rekomendacyjnym jest dopisek w którym zaznaczono, że oddajesz się pan z wielkiem zamiłowaniem starodawnym tajemniczym naukom, i że nawet więcej zajmujesz się niemi niż swoim talentem.

— Prawdę mówiąc, wielki mistrzu, ani jedno ani drugie nie zajmuje mnie tak znów bardzo; podlegam przeważnie memu temperamentowi i wrażeniom. Jeźli mnie coś zajmie, staram się poznać to i zbadać; jeźli dobadam się prawdy, śledzę ją zawzięcie. Przekonawszy się, że chiromancya jest nauką, oddałem jej się z zapałem, i zdaje mi się, iż mogę dziś, — jak dwaj mistrze moi, d'Arpentigny, twórca tej nauki, i Desbarolles który ją udoskonalił — unieść róg zasłony okrywającej przyszłość za pomocą badania linii dłoni. Ręka nasza to księga na której przeznaczenie wypisało nietylko przeszłość ale i przyszłość... A! gdybym tak mógł choć na pięć minut rozejrzyć się w ręce króla pruskiego lub pana Boesewerk, powiedziałbym panu jaki los spotka Niemcy!

— A nim to nastąpi jesteś pan pewny, iż jeźli przyjdzie ci się pojedynkować w następstwie zajścia berlińskiego, nic złego cię nie spotka?

— Jestem tego najpewniejszy.

— Życzę panu tego z całego serca.

— Ale błahostka ta, oderwała nas od nader zajmującego przedmiotu rozmowy; mówiliśmy o prześlicznych utworach pendzla pana, które wszystkie są mi znane.

— Wszystkie?... Założyłbym się, że nie znasz pan najlepszego mego obrazu.

— Przedstawiającego *Cesarza Ottona odwiedzającego grób Karola Wielkiego.* Czy o tym pan mówisz?

— Więc znasz pan ten obraz! zawołał z radością Kaulbach.

— Tak, jest on nietylko arcydziełem pana, ale zarazem arcydziełem tegoczesnego malarstwa niemieckiego, odrzekł Benedykt.

Kaulbach serdecznie uścisnął dłoń jego, mówiąc:

— Nie stawiając obrazu tego na tak wysokiem stanowisku na jakie pan podnieść go raczyłeś, przyznaję jednak, że podnoszę go nad inne moje płótna... Ah! daruj pan, rzekł nagle, otóż dwie osoby mające pozować do obrazu.

— Odejdę więc, ale pozwolisz mi pan odwiedzać się w swej pracowni.

— Spodziewam się tego... ale, zatrzymaj się pan... Przybywający panowie, to moi dobrzy znajomi; pójdę ręką naprzeciw nim, powiem im kto pan jesteś, a jeźli nic nie będą mieć przeciw temu żebyś pan był obecnym podczas posiedzenia, będziesz mógł pozostać i zabawić pokąd zechcesz.

To powiedziawszy wyszedł powitać przybywają-

cych. Zajechali skromnym powozem bez żadnych herbów, ale Benedykt, który doskonale znał się na koniach, ocenił że para zaprzężona do powozu, warta była 8,000 do 10,000 fr.

Starszy z przybyłych panów, zdający się mieć od 40 do 45 lat, miał szlify jeneralskie przy mundurze strzelców gwardyi; po kilku słowach zamienionych z Kaulbach'em odpiął gwiazdę błyszczącą na jego piersiach obok dwóch innych orderów, i schował do kieszeni; pozostały: order Gwelfów i krzyż Ernesta-Augusta, poczem wszedł na peron wsparty na ramieniu młodego towarzysza, zdającego się być jego synem.

Był to młodzieniec bardzo wysoki i bardzo szczupły; mógł mieć lat 20 lub 21. Miał na sobie pełny mundur huzarów gwardyi, to jest błękitny surducik ze srebrnemi galonami i zgrabny kaszkiet na głowie. Kaulbach pośpieszył otworzyć drzwi do pracowni i odstąpił na bok zostawiając wolne przejście. Gdy weszli, Benedykt złożył głęboki ukłon; poznał oryginały obrazu — portretu który Kaulbach wykończał.

Rzucił bystre spojrzenie na portret jenerała — i w pozostałej gwiazdzie której odjąć nie wolno, Benedykt poznał wielki krzyż św. Jerzego, jaki tylko panujący nosić mogą. W tej chwili wiedział już, że ów jenerał, przyjaciel Kaulbach'a, to król Hanowerski Jerzy, a młodzieniec na którego ramieniu wspierał się niewidomy monarcha — to następca tronu. Mógł więc przypatrzyć się z blizka najuczeńszemu z monarchów niemieckich, obdarzonemu najwyższem poczuciem artystycznem.

— Milordowie, rzekł Kaulbach, zwracając się do dwóch oficerów, mam zaszczyt waszym wysokościom przedstawić jednego z moich już sławnych, choć bardzo młodych jeszcze kolegów. Zaleca mi go bardzo silnie dyrektor francuzkiej szkoły sztuk pięknych, i dodać muszę iż własna jego osobistość silnie bardzo popiera to zalecenie.

Jenerał i młody oficer ukłonili się uprzejmie. Poczem król rzekł po angielsku chcąc zażartować:

— Żałuję mocno, że bardzo słabo mówię po francuzku i po niemiecku — tym więcej iż przyjaciel mój Kaulbach zapewnia mnie, iż mówisz pan po niemiecku jak prawdziwy Saksończyk — jednakże i ja i syn mój o tyle rozumiemy obydwa języki, iż możesz pan mówić którym wolisz.

— Milordzie, zdaje mi się, iż posiadam o tyle język angielski, iż zdołam mówić nim dość zrozumiale. Jestem tak zapalonym wielbicielem Szekspira, Byron'a i Walter Scott'a, iż starałem się wyuczyć ich języka, aby módz dzieła ich czytać w oryginale.

— Ależ mówisz pan tak doskonale jakby rodowitym językiem, odrzekł król z uśmiechem.

Kaulbach także dość płynnie mówił po angielsku; rozpoczęła się więc rozmowa bardzo zajmująca, wolna od nużącej etykiety dworskiej.

Król Jerzy, nie przypuszczając, że jest poznanym, nie krępował swoich artystycznych uniesień. O malarstwie mówił daleko lepiej, niż wielu krytyków którzy nie utracili wzroku; mówiąc o literaturze, ubolewał nad upadkiem teatru w Niemczech, podziwiając zarazem tę niewyczerpaną płodność dramatyczną, dzięki której Paryż zaopatruje cały świat. Podczas jego mowy, Kaulbach retuszował niektóre części obrazu, starając się jedynie, jak to powiedział Benedyktowi, uczynić je mniej wykończonemi. Trzeba było podziwiać przedziwną zręczność z jaką król umiał ukrywać swoje kalectwo. Zamiast, jak zazwyczaj niewidomi, zwracać ucho w stronę skąd głos wychodził, patrzał wprost na mówiącego jak gdyby go mógł widzieć. Dowiedziawszy się, że artysta brał udział w wojnie z Chinami, że odbywał podróże do Indyi, Abisynii, Rosyi, Kaukazu i Persyi, zadawał mu odnośne pytania, tem pochlebniejsze dla młodego Francuza, że tylko wyższy umysł mógł podobne zadawać jakoteż odpowiadać na nie.

Młody książę który był zapalonym myśliwym, ale dotąd nie mający sposobności polowania jak tylko na zwierzęta europejskie, przysłuchiwał się z niewysłowionem zajęciem opisom polowania na lwy, pantery, tygrysy i słonie. A gdy Benedykt oznajmił, iż może przedstawić mu szkice swojej podróży po Indyach, zwrócił na ojca błagalne spojrzenie. Król przychylił się do niemej prośby syna.

— A więc gdzie i kiedy? zapytał młody książę.

— U ciebie, odrzekł król. Zaproś na śniadanie naszego dobrego przyjaciela Kaulbach'a wraz z gościem jego panem Turpin, a jeźli nie odmówią...

— O! proszę was panowie, przyjdźcie zaraz jutro! zawołał uradowany książę.

Benedykt, zakłopotany, spojrzał na Kaulbach'a, mówiąc:

— Nie wiem czy jutro nie będę miał za wiele zajęcia...

— Czy masz pan kończyć rozpoczęte obrazy? zapytał młody książę

— O nie! wczoraj dopiero przybyłem do Hanoweru.

— Młody mój kolega, rzekł Kaulbach, jest tak gwałtowny i nielubiący tracić czasu, iż zdążył już napisać i ogłosić w „Nowej Gazecie Hanowerskiej” list będący teraz w drodze do Berlina.

— Jakto! więc to pan napisałeś ten list który dziś czytałem memu ojcu i który tak mnie ubawił?

— Tak, milordzie.

— Ależ z tego może wyniknąć nie wiedzieć wiele pojedynków.

— Ja liczę na trzy; trójka to ulubiona liczba bogów.

— A jeźli pan zostaniesz zabity lub ranny?

— Jeźli zostanę zabity, proszę racz pan pozwolić abym mu przekazał mój album obejmujący szkice z podróży; jeźli odniosę jakąś ciężką i niebezpieczną ranę, pan Kaulbach zechce przedstawić go panu; jeźli będę lekko ranny, będę miał zaszczyt sam go przynieść. Ale niech milord będzie spokojny, skoro raczy okazywać mi jakieś zajęcie, mogę upewnić go, że mi się nic złego nie stanie.

— Jakże możesz pan to wiedzieć?

— Wszak zna milord imię i nazwisko pana? zapytał Kaulbach księcia.

— No, tak, Benedykt Turpin, odrzekł książę.

— Otóż pochodzi on w prostej linii od słynnego czarownika Turpin, i spełnia *in partibus* rzemiosło swego naddziada.

— A może pan jesteś jakimś *medium* spirytystów? zapytał śmiejąc się młody książe.

— Nie mam tego zaszczytu, odpowiedział Benedykt, tylko bawię się czytając z ręku przeszłość, a poniekąd i przyszłość.

— Właśnie przed przybyciem panów, rzekł Kaulbach, kolega mój — ma się rozumieć w malarstwie tylko — ubolewał, że nie może rozpatrzyć się w ręce króla pruskiego — bo powiedziałby naprzód jak się ta wojna skończy... Milordzie, dodał, z naciskiem, wymawiając ten tytuł — czy nie możnaby znaleźć innej królewskiej ręki, dla pokazania jej panu Turpin?

— Oh! nic łatwiejszego, odrzekł król z uśmiechem, tylko że trzebaby ręki prawdziwego króla lub prawdziwego cesarza, takiego naprzykład jak cesarz chiński, posiadający 150 milionów poddanych. Czyż nie prawda, panie Turpin?

— Mojem zdaniem, najjaśniejszy panie, odpowiedział Benedykt, składając Jerzemu V głęboki pełen uszanowania ukłon, niepotrzeba wielkich królestw dla wytwarzania wielkich królów: Tessalja wydała Achillesa, Macedonia Aleksandra.

To powiedziawszy raz jeszcze skłonił się głęboko i wyszedł.

(D. c. n.)

TRZY MIESIĄCE W CHORWACYI.

Wspomnienia z podróży po Austryi i Węgrzech

przez

LUIDEVITA PRIJATELI,

przekład J. B.

(Dokończenie).

XV.

Śpiew i taniec są w ogóle najulubieńszemi rozrywkami ludów słowiańskich, a szczególniej Chorwatów. Wszystkie niemal prace rolne wykonywają oni przyśpiewując sobie, co zapewne jest wynikiem pracy wspólnej. Niech tylko zejdą się trzy chorwackie dziewczęta, wnet zaczną śpiewać chórem. Najpopularniejszą książką w Chorwacyi, którą zobaczymy na stole w każdym domu chorwackim, jest śpiewnik ludowy p. Delica' o *Putchka Pjesmaritza.* Słusznie powiedział jeden z poetów słowiańskich: że Słowianin jest tem między narodami, czem słowik wśród ptaków. Jakże często jeden z grona pracowników wysuwa się naprzód, i śpiewa im, najczęściej jakąś improwizowaną pieśń z towarzyszeniem *tamboriza* (tamborina). Języki słowiańskie są w ogóle bogate, harmonijne, melodyjne, nadające się do wszelkich improwizacyj. W krajach uważających się za wyżej ucywilizowane, poeci śpiewają dla ludu, tu lud śpiewa dla nich i dla siebie. Najwięcej popularne pieśni, ułożone zostały przez zupełnie nieznanych poetów.

Zazwyczaj tańce miewają miejsce tylko w niedziele, oraz podczas żniw, winobrania i zbiorów kukurydzy. Ulubionym tańcem Chorwatów jest *koło* którego figury tańczą się w kółko około śpiewaka wybijającego takt, z towarzyszeniem guzli lub tamborina. Śpiew opiewa zwykle jakąś legendę dowodzącą, że odwaga, miłość i wierność, są to najpiękniejsze cnoty i nigdy nie pozostaną bez nagrody. *Koło* składa się z sześciu figur, zwanych: Ósemka, Pierścień, Gwiazda, Wieniec, Wstęga, Koniec.

Podajemy w przekładzie jeden ze śpiewów śpiewywanych podczas tego tańca.

„Zasadziłem piękny ogród miałem piękną narzeczoną. W ogrodzie moim rosła wysoka sosna, nie tak jednak wysmukła jak kibić mojej narzeczonej. Były także w ogrodzie tym piękne narcyzy — nie tak jednak jak łono mojej narzeczonej.

„Wtem wojna wybuchła, jako żołnierz, musiałem ruszyć w pole. Żegnaj mi, piękny ogrodzie! żegnaj wysoka sosno, żegnajcie piękne narcyzy, żegnaj mi piękna moja oblubienico!

„Długie dni byłem w marszu, lecz ledwie przybywszy do obozu, odbieram tak fatalny list: Wiatr

obalił wysoką twoją sosnę, narcyzy twoje zwiędły, narzeczona cię zdradziła.

„Daremnie szukałem śmierci na polach walki — nie chciała mnie zabrać; gdy wojna się skończyła, odesłano nas do domów. Wszyscy wracają z radością, moje tylko serce czarny przygniata smutek; wszyscy przyśpieszają kroku aby prędzej wrócić pod dach rodzinny, ja idę wolno, zatrzymując się po drodze.

„Ale otóż i dzwonica mej rodzinnej wioski, serce bije gwałtownie — czy z radości czy z boleści?... Wszedłem na ścieżkę wiodącą do naszego domku idę, poznaję nasze pola spostrzegam rodzicielską chatkę — ależ mój ogród, niestety!

„O nieba! cóż to ja widzę!... sosna moja urosła jeszcze, narcyzy białe jak śnieg bujniej jeszcze kwitną — a tam oto chatka mojej narzeczonej. Któż to stoi w progu? ach! to ona! wyciąga do mnie ręce—więc pozostała mi wierną!...

Ten pełen prostoty dramacik wiernie maluje uczucia żyjące w sercach Chorwatów: obowiązek żołnierski, miłość ojczystej błoni i miłość dla ukochanej.

XVI.

Dumny z prostoty i czystości obyczajów wytwarzających silne narody, i gorąco miłujący ojczyste tradycye, pewien patryota chorwacki rzekł raz do mnie: „Kraj nasz jest zdrowo ukonstytuowany; nie ma w nim ani bankierów ani proletaryatu.” Szczęśliwy zapewne jest kraj wolny od proletaryatu — ale nie można powiedzieć tego co do bankierów. Proletaryat jest oznaką nędzy, banki przeciwnie oznaką pomyślności i rozwoju przemysłu i handlu, którego niezbędnymi pośrednikami są bankierzy ułatwiający kredyt. Ale jest ich dosyć w Chorwacyi, żydów, greków lub niemców — obywatel ów chciał tylko objaśnić mnie, że Chorwaci nie oddają się zawodowi bankierskiemu. Od pewnego jednak czasu zaczyna się szerzyć zamiłowanie do handlu i przemysłu, i Chorwaci uczą się już oceniać należycie użyteczność instytucyj kredytowych. W samym Zagrzebiu istnieje już *Bank dyskontowy*, *Bank handlowy dla Chorwacyi*, oraz *Kassa oszczędności* z filjami po ważniejszych miastach chorwackich; zakłady te zostają pod zarządem krajówców, i obok zapomóg udzielanych przemysłowi, udzielają pożyczki na dobra i nieruchomości.

Żywioł krajowy, zastępuje powoli cudzoziemski, który przywłaszczył tu sobie rolę pośrednika i dostawcy, we wszystkich operacyach handlowych i przemysłowych.

Na szyldach sklepów i magazynów zagrzebskich, równoważy już obecnie liczba nazwisk chorwackich z cudzoziemskiemi — i raz dany popęd nie zatrzyma się na tej drodze. Obsługa w tych składach składa się z ludzi młodych, czynnych i odpowiednio uzdolnionych, którzy dla oswojenia się ze swemi czynnościami, praktykowali w wielkich składach w Tryeście, w Gracu, w Wiedniu lub w Paryżu. Tam nabrali zamiłowania do ładu, pilności i pomysłowości, oraz tego dobrego gustu, dozwalającego magazynom i sklepom przy placu Jellaszica, przy ulicach Ilica i Długiej, zadowolnić najwyszukańsze wymagania elegancyi, fantazyi i zalotności. Można tu zaopatrzeć się w bardzo eleganckie obuwie i najpiękniejsze kapelusiki, i wiedzą o tem dobrze elegantki zagrzebskie, niektóre jednak sprowadzają sobie toalety w prost z najpierwszych magazynów paryzkich, przez co upowszechnione tu są mody paryzkie.

Przy placach Jellaszica i Zrińskiego są cukiernie i kawiarnie urządzone z jak największym przepychem i komfortem, a hotele i restauracye przy ulicy Ilica są bardzo dobrze utrzymane i nie droższe jak w drugorzędnych miastach europejskich.

Prócz tego Zagrzeb posiada zakłady miłosierne dające pomoc kalekom i schorzałym starcom, zajmujące się wychowywaniem dzieci ludu, doglądające chorych i rozdające lekarstwa do domów. *Zagrzebscy bracia miłosierdzia*, utrzymują w najpiękniejszej dzielnicy miasta szpital, do którego przyjmują chorych wszelkiej narodowości, przebywających w Chorwacyi. W Steinewac, o kilka kilometrów od Zagrzebia, wykończają obecnie ogromny gmach, na przytułek dla starców i obłąkanych.

Inne miasta Chorwacyi naśladują ten szlachetny popęd nadany przez stolicę, a zarządy ich okazują pod tym względem chwalebną gorliwość i działalność. Lud ten młody, czynny, intelligentny, pracowity, tak żywo starający się dorównać postępowi jakiego dosięgały inne narody europejskie, zasługuje na największe pochwały, i szczere obudza współczucie. Od jakich lat 20, nauczanie publiczne znacznie jest ulepszone; nauczanie obowiązkowe zostaje pod zarządem świeckim, co nie przeszkadza kapłanom wywierać należyty wpływ religijny. W Chorwacyi nikt nie pojąłby szkół bez Boga, zarówno jak religii bez obrządków i modlitwy. Uroczystości religijne odbywają się tu z wielką świetnością wypływającą z gorącej wiary. Kościoły ozdabiane są z wielkim przepychem i bogactwem cechującem sztukę wschodnią. Obrazy pomieszczone w ołtarzach, wzbudzają ducha chrześciańskiego nabożeństwa i uznanie znawców i artystów. Przez wyłączny przywilej, nadany katolickiej Chorwacyi, śpiewy i nabożeństwa odprawiają się w języku chorwackim; melodya jest wzniosła i poważna.

Jednem słowem, Chorwacya jest piękną, pełną uroku krainą. Stolica jej, Zagrzeb, jest to miasto bardzo miłe, zamieszkałe przez ludność łatwą i serdeczną, zamiłowaną w życiu domowem, nie lubiącą gwaru i wrzawy. Można tu znaleźć bardzo dobrane towarzystwo. Główną rozrywkę stanowi teatr; mieszkańcy nie szukają innych zabaw nad napotykane w rodzinnych i przyjacielskich stosunkach, oddają się nauce, kształceniu się, czuwaniu nad własnemi interesami, i spełnianiu obowiązków swego zajęcia czy stanu. Mało tu bardzo próżniaków i pasożytów; wskażą ci z łatwością rodzaj zajęcia każdego spotkanego na ulicy człowieka.

Arystokracya, jeżeli nie piastuje jakichś obowiązków w wojsku, w urzędowaniu lub administracyi, zamieszkuje w dobrach swoich i na krótko tylko przyjeżdża do Zagrzebia. Nie ma tu prawie próżniaczych kapitalistów żyjących z procentu, a rzadkie napotykane wyjątki nie cieszą się poważaniem współziomków.

Literaci i poeci są bardzo wysoko poważani, i dojść mogą do najwyższych godności. Życie tak poważne, czynne, zawsze zajęte,ześrodkowanie sił przez nie wytworzonych, przysposabiają godnie szlachetny ten naród do wyższych oczekujących szczep ten słowiański przeznaczeń; żywi on w sercu przeczucie lepszej przyszłości i nie zaniedbuje nic aby stać się jej godnym.

NOWE WYDAWNICTWA.

Wycieczka w Czorsztyńskie, skreślił Bronisław Gustawicz, członek c. k. geograficznego towarzystwa w Wiedniu. Opowiadanie to nie jest właściwie opisem odbytej podróży, ale historycznym przebiegiem losów miejscowości wybranej przez Autora. Szczegóły zebrane skrzętnie i z wielką pracowitością ułożone zostały w jeden obraz bez najmniejszej przymieszki fantazyi, zwykle wielce do ożywienia całości posługującej. Mimo tego pracę p. Gustawicza czyta się z ciekawością a zarazem i z pragnieniem, abyśmy podobnych opisów jak najwięcej posiadali. Kiedyś posłużyć one mogą do ułożenia podręcznika nauki geografii, tak sucho dotąd uczonej, że dziwić się nie można, iż cudzoziemcy prawią o nas historye jak o żelaznym wilku.—Nakład Filipa Sulimierskiego redaktora Wędrowca.

Wydawnictwa E. Orzeszkowej i S-ki. Przesądy w wychowaniu, studyum pedagogiczne przez W. Marrené. Sam tytuł ważnej tej pracy wskazuje, że Autorka nie miała zamiaru skreślić systematycznego wykładu całej pedagogiki, tylko wytknąć najbardziej rozpowszechnione błędy w wychowaniu dzieci popełniane tak ogólnie, że wreszcie razić przestały. Nie podzielając zdania Rousseau'a, Helwecyusza, Dierota i całej szkoły francuzkiej, wierzących w nieomylność i doskonałość praw natury, w naturalność, skłonność istoty ludzkiej do wszystkiego co dobre, szlachetne, niewinne, czyli swe władze wrodzone, podziela zapatrywania się Spencera, twierdzącego, że niemal wszystkie przesądy w wychowaniu utrwalone, później rozwijają się w społeczeństwie i z nich biorą początek. Dopiero poszukiwania naukowe, wykazujące całą ważność kwestyi naukowych i niezaprzeczony wpływ dziedziczności, szereg prac, studyów i przykładów popierających te twierdzenia niezbitemi dowodami, obaliły systematy budowane na piasku doktrynerskich przywidzeń i pokazały wychowawcom z jakiemi czynnikami rachować się im należy. Ale i w tem pojęciu nastąpiła przesada, było ono jednostronne i brało tylko w rachunek niektóre czynniki rządzące człowiekiem i jego uzdolnieniem z pominięciem innych równie ważnych.

Na takim to gruncie Autora rozwija wszystkie swoje dowodzenia i rozwija je zwycięzko wykazując złe, które winno być usunięte. Zdrowy ten pogląd szczególniej uwydatnia się w rozprawie o literaturze dziecinnej, streszczającej niejako wszystkie myśli w innych rozdziałach podniesione. Głównie powstaje na rozpowszechnione w niej tłomaczenie powieści z obcych języków, które jako nieprzerabiane, nietylko pożytku żadnego nie przynoszą, ale przeciwnie wielką szkodę. Zdanie to zupełnie podzielając zwracamy na nie szczególną uwagę wszystkich zajmujących się wychowaniem dzieci. Złe jak chwast nieznacznie się rozplenia, prawie niepostrzeżenie, a przyczepia się łatwo i niszczy najlepsze usposobienie dziecka a przynajmniej mocno go nadwerężа. Dość ostrożnym być tu nie można, dlatego z całą sumiennością wyznać musimy, że Przyjaciel dzieci wolnym jest zupełnie od tego zarzutu i powieści jego i powiastki prawie wszystkie są oryginalnie pisane, a tłomaczenia w rzadkich wypadkach dawane, z gruntu przerabiane z pozostawieniem tylko głównej treści.

Autorka pracę swą, jak powiada, nie poświęciła ludziom nauki ale dobrej woli, którzy

pragną przyczynić się do zniszczenia błędów dotąd popełnianych w wychowaniu. Takim i my ją polecamy z całem przekonaniem o jej użyteczności.

Encyklopedyi wychowawczej wyszedł zeszyt siódmy tomu pierwszego i zawiera: Astronomia przez I. Kowalczyka: Ateneum p. J. K. P. Atlasy p. A. Dygasińskiego: Atlasy zoologiczne przez A. Ślósarskiego: Augustyn S. p. E. St. Australia p D. St. Austrya p. S. Z.

Powiastki historyczne, dla młodzieży i ludu naszego, napisał Józef Grajnert. Pożytecznego tego wydawnictwa i tak będącego na dobie, wyszła obecnie trzecia książeczka i przedaje się każda po kop. 10 w miejscu. Pierwsza zawiera: Dwaj bracia Litwini, z wojen Sobieskiego z Tatarami, i o księciu Dymitrze Wiśniowieckim, oraz o Hryciu Rusinie z czasów wojny polskiej z Wołoszą. Druga: Przygody Czecha Tomaszka z wojen króla Wł. Jagiełły z Krzyżakami i Dzielna dziewczyna z czasów napadów Szwedów na Polskę. Trzecia: Słynne przygody Marcina Mrągi Kaszuba, w czasie powstania miast pruskich przeciw Krzyżakom. *Czwarta* już na prasie będąca, obejmuje: Dziwne przygody Lorka Szlązaka za czasów Łokietka i wojen szlązkich. Cena tych książeczek razem na miejscu kop. 40 — z przesyłką pocztową kop. 50, dla prenumeratorów zaś *Zorzy i Opiekuna* domowych i pożytecznych zwierząt, o dziesięć kopiejek taniej. Wydawnictwo to polecamy wszystkim, dla których sprawa oświaty jako głównej dźwigni dobrobytu społecznego, nie jest obojętną.

W sprawie pisowni polskiej, odbitka z Tyg. illustrowanego. Rozprawka niewielka ale z wielką miłością i mowy ojczystej i jej pisowni napisana. Rozbiera ona niekonsekwentne nowatorstwa wprowadzone do pisma naszego i druku a szczególniej obszernie zastanawia się nad wprowadzeniem joty po samogłosce y. Autor opierając się na wnioskach deputacyi Tow. przyjaciół nauk w Warszawie w r. 1830, rozwija konieczność trzymania się jej przepisów, aby powstałego już zamieszania w naszej pisowni nie zwiększać do ostateczności i nie osłabiać wiary w wyrobienie ojczystej mowy i w powagę mężów około jej czystości pracujących. Wprawdzie wszystko co jest dziełem człowieka przerabia się, ulepsza, przeistacza i mowa więc ludzka i jej pisownia ulega temu prawu, ale poprawkom tym zatwierdzenie obowiązujące wydawać może tylko ciało naukowe, ciągle w tym kierunku pracujące, a nigdy pojedyńcze jednostki obowiązane bezwarunkowo słuchać przepisów poprzednio wydanych, chociażby te rzeczywiście już nie odpowiadały potrzebie czasu i wkrótce nawet miały być zmienione. Domaganie się takie nie wynika z konserwatyzmu zbyt uporczywego, ale z obowiązku szacunku przynależnego nauce. To co jest wspólną własnością całej społeczności, przez całą nią bez wyjątku powinno być szanowane. Pojedyńczym jednostkom, wolno domagać się zmian, rozumować nad ich koniecznością, ale niewolno zaprowadzać je samym i zachęcać do ich naśladowania, a co gorsza, uczyć według swej własnej wymyślonej teoryi. Wyrazem społeczności w podobnych kwestyach są ciała naukowe, gdy tych brak, należy czekać aż się uorganizują. Broszurka ta wybornie idzie w pomoc dziełku p. Ludomira Szczerbowicza-Wieczora: O skażeniu obecnem języka polskiego, już wyszłem z druku. Oba te dziełka radzimy pilnie przestudyować każdemu, a szczególniej Nauczycielom i Nauczycielkom, wszystkim piszącym do druku i redaktorom... wielu pism peryodycznych.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Pan Edward Łojko rozesłał okólnik zawiadamiający o zamknięciu założonej przez niego „Szkoły kucharek" a to z powodu braku uczenic i wynikłej z tego tytułu straty bez mała 2,000 rs. przypisując tak niepomyślny rezultat brakowi poparcia ze strony prassy oraz „idealności pań naszych, nie chcących mieć nic wspólnego z taką prozą życia, jak znajomość przysposabiania pokarmów." Co do pierwszego zarzutu, o ile sobie przypominamy, dziennikarstwo warszawskie przemawiało w ogóle z uznaniem o założeniu Szkoły kucharek a jeźli nie ponawiało zachęceń, to zapewne w przekonaniu, iż zbytecznem byłoby wykazywać użyteczność zakładu, niezaprzeczoną o ile odpowiednio jest prowadzony. Co do „idealności pań" tej nadmiar nie tak znów często się zdarza; może prędzej odstręczała je sama nazwa i wspólność nauki z rzeczywistemi kucharkami; może połączenie szkoły z restauracyą, co zresztą ze względów kosztu zupełnie usprawiedliwiamy. Może także wiele z tych, któreby chętnie korzystały z nauki, nie były w możności za nią płacić, a inne znowu, zmuszone pracować na własne utrzymanie lub pracą swą przychodzić w pomoc rodzicom zbyt małe mającym fundusze, nie mogły poświęcać dość długiego stosunkowo czasu, nauce kucharstwa. W każdym razie nie można obwiniać prassy, że nie dowodziła nieustanie czegoś co dowodzenia nie potrzebuje.

+ Mamy przed sobą album wydane staraniem Krakowskiego Koła artystyczno-literackiego, na dochód ofiar trzęsienia ziemi w Zagrzebiu. Tytuł „Kraków Zagrzebiowi." Na pierwszej karcie czytamy okolicznościowy wiersz Asnyka, p. n. „Posłanie" z pięknym rysunkiem Kossaka. Z bram zamku na Wawelu — takiego jakim był niegdyś— wyrusza konny poczet rycerzy; u podnóża góry stoi gromada chłopców wiejskich w czerwonych czapeczkach. Wiersz i rysunek uzupełniają się wzajemnie:

Niegdyś, niegdyś z pod Wawelu,
Młódź rycerska biegła w zbroi,
Do jasnego biegła celu,
Nadstawiając piersi swojej.
Przy zakonie stojąc twardo,
I przy prawie swem człowieczem,
Z męzką śmierci szła pogardą,
By chrześciańśtwa bronić mieczem.

. . . .

Dziś już z pierwszym świtu brzaskiem,
Wyciągamy do was ręce,
Słowem, pieśnią i obrazkiem,
Składać dary pacholęce.
Wyczekując końca nocy,
Do jasnego dążym celu,
I niesiemy dar sierocy,
Pacholęta z pod Wawelu.

Honorowe miejsce zajmuje mistrzowsko narysowana postać Stańczyka. Postawa śmiała, oblicze wyraziste, żylaste ręce, śmiałość ruchu dumnie rzuconej postaci, zdradza twórcę swego — Matejkę.— Dalej widzimy charakterystyczną postać żołnierza. Loefflera; „Modlącą się dziewicę," Szynalewskiego. „Polityka" Stasiaka, „Pięknego górala" pani Wysockiej. Ładnie i starannie wykończona „Egipcyanka" Żmurki. Ludomir Benedyktowicz, dał piękną, pełną wyrazu „Głowę wieśniaka" narysowaną piórkiem; typ prawdziwie słowiański. Dalej portret kobiety, Abramowicza; „Zadumany wyżeł," Rosena; „Krajobraz zimowy," panny Birkowskiej. „Głowa starego Żyda," Koniuszki. „Wieża z okolic Montpelier, La tour des pins," I. J. Kraszewskiego; „Chatą za wsią, wśród lasu" Pociechy; „Amazonka," Kossaka Wojciecha. „Chłopiec śmiejący się," p. Birkowskiej. Śliczny i nader starannie wykończony jest „Widok kościoła Ś. Katarzyny na Kaźmirzu" H. Lipińskiego. Malczewski Jacek, dał szkic, studyum kobiety i dwóch postaci z Anhellego. Kossak Juliusz „Krakowiak wierzchem, wiodący dwa konie luzem," konie jakie on malować umie. Pruszkowski, naszkicował „parę włościańską." Hernisz „Staruszka," Buchbinder „Głowę kobiety", Ajdukiewicz „typ wschodni." Papieski, „Araba;" Mroczkowski „Włódarza z kluczami"; Fabiański „Krajobraz leśny.".

Wszystkie rysunki w ogóle są nader starannie wykonane, a niektóre odznaczają się szczęśliwym wyborem przedmiotu, wyborną charakterystyką i śmiałością ołówka, i śmiało można powiedzieć, że przewyższają bardzo wiele podobnych publikacyi. Na część literacką złożyli się przeważnie pisarze i literaci krakowscy, są jednak kartki popisane i przez dalszych naszych pisarzy i poetów. O części literackiej pomówimy w następnym N-rze naszego pisma.

+ Wiadomo z pism a szczególniej ze sprawozdań *Kosmosa,* jak gorliwie zajmowano się we Lwowie telefonem, w tamtejszych towarzystwach naukowych, i nie poprzestając na powtarzaniu prób zagranicznych, czyniono samodzielne poszukiwania i doświadczenia, które do ważnych doprowadziły rezultatów. Oprócz kilku uczonych lwowskich pracujących na tem polu, p. Machalski, inżynier, obmyślił telefon grafitowy, i z jego pomocą urządził we Lwowie koncert telefonowy d. 29 z. m. na odległość czterech mil, w połączeniu z Żółkwią. Licznie zebrana publiczność z niedowierzaniem oczekiwała doświadczeń. Wtem baron Gostkowski, profesor politechniki, rozpoczął rozmowę z panem Machalskim znajdującym się w Żółkwi i wszyscy w sali doskonale słyszeli odpowiedź. Nie dość na tem dał się słyszeć śpiew p. O. z Żółkwi, a tuż potem piękny i silny tenor p. Myszugi, który naumyślnie w tym celu pojechał do Żółkwi i zaśpiewał aryę z „Halki" *Szumią jodły* i t. d. Każdy ton i każdy wyraz wyszły czysto i dźwięcznie. Tu już podziw i zachwyt publiczności nie znał granic. Śpiew wydawał się jakby pochodził z sąsiedniego pokoju, gdy zaś następnie zagrano na flecie, tony także były wyraźne, ale zdawały się wychodzić z pod podłogi. Dla zadowolnienia publiczności żółkiewskiej, jeden z członków Towarzystwa muzycznego, przesłał po drucie telefonicznym pięknie odśpiewaną aryę, którą według natychmiastowej odpowiedzi telefonicznej, doskonale słyszano w Żółkwi, i śpiewaka głośnym nagrodzono oklaskiem.

Wiadomość tę powtórzyły wszystkie pisma, i dotąd nigdzie nie czytaliśmy zaprzeczenia. Telefon p. Machalskiego miałby tedy tę wyższość nad wielu innemi, iż nie potrzebuje być trzymany blizko ucha i daje głos na całą salę, co już wielką nadawałoby mu przewagę, ale jest bardzo kosztowny i wymaga częstej regulacyi.

+ W Piemoncie, nad brzegami rzeki Tarno, pod Aleksandryą, w lecie r. z. bawiło się kilkoro dzieci; w tem, jedno z nich, czteroletni chłopczyk, wpadł w wodę w miejscu gdzie niejednokrotnie, nawet umiejący pływać, zostawali pochłonięci przez wir górskiego strumienia. Gdy nikt z obecnych osób dorosłych nie miał odwagi pośpieszyć ratować tonące dziecko, dokonał tego dwunastole-

tni Edward Pazzi, wiedziony poczuciem obowiązku i litości. Po nadzwyczajnych wysiłkach i nieuniknionem prawie narażeniu się na śmierć, udało mu się uratować biedne dziecko. Bohaterskie to pachołę, syn ubogiego robotnika kolejowego, stało się przedmiotem wspaniałej owacyi w Aleksandryi, w początkach z. m. Na wniosek ministerstwa, król przyznał mu medal zasługi, którym burmistrz miasta, senator Zoppi, przyozdobił pierś małego bohatera w dziedzińcu przystrojonym świątecznie Collegio Nationale, w obec przedstawicieli władz i korporacyi, oraz tłumów ludności. Przypinając medal, senator Zoppi ucałował go serdecznie w imieniu całego miasta, i po skończonej uroczystości wraz z ojcem zaprosił na obiad. Ojciec jego nie przyjął żadnej nagrody pieniężnej.

+ Karty pocztowe, zaledwie od 10 lat zaprowadzone w Stanach Zjednoczonych, rozpowszechniły się tam nadzwyczajnie, pomimo przeciwników jakich znalazły w fabrykantach papieru listowego i nader licznych dłużnikach u których wierzyciele w tak kompromitujący sposób domagają się uiszczenia należności. Dowiedzionem jest, że karty pocztowe, spowodowały zmniejszenie roczne wyrobu papieru listowego o 12 do 15 milionów dolarów. Głównem miejscem wyrobu kart pocztowych jest miasto Hylyoke, w Massachuset, gdzie 40 ludzi zajmuje się ich fabrykacyą. Gruby papier na te karty wyrabia się w paczkach po 3000 arkuszy, z których każdy daje 40 kartek. Trzy prasy drukarskie są w ruchu dniem i nocą; osobna maszyna kraje odbite arkusze, każdy na 10 kart, a następnie młode dziewczęta układają je w paczki po 500 kart. Urzędnik rządowy dogląda robót, dla przeszkodzenia jakiejś malwersacyi. Fabryka w Holyoke wyrabia dziennie około 1,000,000 kart. W r. z. spotrzebowano 246,062,000 kart; w tym roku sam rząd zapotrzebował ich 25,000,000. Zaprowadzenie międzynarodowych kart pocztowych, podwoi jeszcze dochód z tego źródła.

+ Przed parą tygodniami zrobione w Londynie doświadczenie społeczne, mogące wydać nader zbawienne rezultaty. Otworzono klub niewieści, którego celem zbliżenie wszystkich klas społecznych. Wpisowe jest bardzo nizkie, aby najbiedniejszym pracownicom umożebnić przyjemności i korzyści intellektualne, będące udziałem ich bogatszych siostrzyc. Dyrektorowie zastrzegli sobie, iż nie otworzą klubu jeźli nie zapisze się tysiąc członków, zebrało się ich blizko dwa tysiące obecnych na wieczorze inauguracyjnym. Na tem pierwszem zebraniu przemawiały wyłącznie kobiety i dobrze wywiązały się z tego zadania. Niesłychane zajęcie obudziło przemówienie miss Hart, w którem opowiedziała życie i prace Franciszka Ledaire, przedstawiając go jako największego reformatora przemysłowego. Zastosował on system pracy współdzielnej; jednakże pomimo nader zbawiennych rezultatów, tak potężnym jest wpływ przesądu i rutyny, że dotąd w całej Anglii istnieją tylko dwa tego rodzaju zakłady, choć kwestya pracy i kapitału staje się tam coraz więcej paląca. Urodzony z rodziny rzemieślniczej, Ledaire znał troski i niepokoje dręczące niepewnych jutra pracowników, siedm lat rozmyślał jak temu zaradzić, a że miał i głowę i serce, więc nareszcie znalazł lekarstwo. W r. 1838 założył Towarzystwo wzajemnej pomocy któremu przewodniczył, a już w r. 1842 Towarzystwo to mogło rozdzielić między czterdziestuczterech robotników, którzy zostali jego członkami, 575 funt. szterlingów. Zgodnie ze swemi statutami, Towarzystwo rozwiązało się w 1864 r. aby powstać na nowych zasadach, wtedy Ledaire postanowił że 20 na 100 czystych zysków jego zakładu będzie przelewane do kassy Towarzystwa, a 30 na 100 rozdzielane między pracowników.

Wtedyto, gdy Towarzystwo zostało w ten sposób zreorganizowane, Ledaire miał do swych wspólników ową sławną po dziś dzień przemowę: „Obecnie, jako członkowie stowarzyszenia wzajemnej pomocy, nie powinniście uważać się jak dzienni najemnicy, odrabiający pewną liczbę godzin jak maszyny ludzkie, starający się porzucać pracę przed upływem oznaczonego czasu. Jesteście stowarzyszonymi, pracującymi na własną korzyść, nic więc w warsztacie nie powinno wam być obojętnem, każdy tak powinien dbać o potrzebne materyały i narzędzia, jakby był wyłącznym ich właścicielem. Ledaire zmarł w r. 1872, zostawiając 1,200,000 fr. majątku, a założone przez niego Towarzystwo, nietylko, jak tyle innych, nie upadło ze śmiercią swego założyciela, ale pomyślność i bogactwo jego ciągle wzrasta. Liczy dziś już 24 tak zwanych *pensyonarzy* pobierających rocznie po 1,000 franków i jedenaście wdów pozostałych po robotnikach, pobierających po 500 fr. rocznej pensyi. Oto treść rozprawy miss Hart, która tak głębokie wywarła wrażenie, iż postanowiono niezwłocznie wyznaczyć komisyę mającą zebrać objaśnienia odnoszące się do znakomitej instytucyi założonej przez Ledaire'a i zająć się przekładem wszystkich dzieł wydanych w tym przedmiocie w obcym języku, aby dać poznać publiczności angielskiej sposób zakończenia antagonizmu zachodzącego między pracownikami i pracodawcami. Czas już aby obie strony poznały, że łączy ich wspólność interesu, i że wszystko co ich dzieli szkodę im tylko przynieść może.

Na poparcie tych dowodzeń miss Hart, p. Jerzy Howell zapewnił, że we wszystkich warsztatach obojętność i niedbalstwo robotników, powoduje przeszło 20 na 100 straty, i proponuje dawanie zapomóg stowarzyszeniom robotników, które zgodziłyby się przyjąć system Ledaire'a, tak dla nich korzystny.

Kilka jeszcze osób przemawiało w tym samym duchu; była mowa o emancypacyi kobiety *ale tylko przez dopuszczenie jej do wspólnej pracy*. Nikt nie wyrzekł ani słówka o zasiadaniu kobiet w parlamencie i głosowaniu na zgromadzeniach wyborczych. Zajmowano się tylko przyszłością klassy robotniczej, jako *jedynej* od której zależy przyszłość ludów, tą kwestyą życia i śmierci, obok której ustąpienie Kandaharu i porażka pod Mojaba są tylko nędznem współzawodnictwem miłości własnej, i samo nawet uspokojenie Irlandyi maleje obok tego wielkiego zadania obchodzącego całą ludzkość.

Powyższy opis inauguracyi klubu nazwanego *Somerville-Club* dowodzi jak coraz gwałtowniej daje się uczuwać w Anglii potrzeba zbliżenia się klas społecznych. Rewolucye jakie miały miejsce na stałym lądzie, dawno już tam zniosły różnice społeczne; tu jednak istnieją one jeszcze, choć raczej moralnie niż fizycznie, gdyż dawna buta i pycha angielska względem niższych już prawie zniknęła, i dziwna rzecz, nie wyższe sfery społeczne ale lud stawia przeszkody zbliżeniu i porozumieniu. To też widok blizko 2,000 kobiet w jednym zgromadzonych celu, uważnie słuchających dowodzeń mówców, jakby podających sobie ręce pomimo starych jak świat przesądów, mogło zarówno radować serca filozofów jak i dusze chrześciańskie patrzące na to czynne zastosowanie zasad Ewangelii.

+ W ostatnich trzech latach dokonano nader ważnych postępów w udoskonaleniu telefonów; dziś za ich pomocą można słyszéć wyraźnie mowę ludzką z odległości 1,500 kilometrów. Takim jest nowo wynaleziony telefon p. Herza, przewyższający wszystkie dotychczasowe prostotą przyrządu. Aparat wysyłający depeszę telefoniczną, do którego się mówi, jest zwykłej budowy mikrofonicznej, z małemi zmianami; jest on połączony drutem z receptorem szczególniejszego układu. Jest to jakby kajet papieru, którego każda karta przełożona jest tejże wielkości kawałkiem cynkfolii, to jest papieru używanego do zawijania herbaty, czekolady i t. p. Tworzy to rodzaj stosu ułożonego naprzemian z papieru i cynkfolii, i taka paczka powtarza najdokładniej głos mówiącego na wysyłającej stacyi. Dotąd znanym był podobny aparat, zwany „kondensatorem śpiewającym"; lecz nigdy nie powtarzał ludzkiej mowy — dopiero pan Herz zdołał tego dokazać. Telefon ten tę jeszcze ma przewagę nad innemi, że prądy indukcyjne nie wpływają na niego wcale, co dotąd tak szkodliwie wpływało na rozpowszechnienie telefonów. Ilekroć obok drutu telefonicznego, ciągnęły się druty od telegrafów lub innych telefonów, w odbieraczu słychać było wszystko co się działo w tych poblizkich drutach, co wytwarzało taki chaos, że zwłaszcza z większych odległości, rozmowa stawała się niewyraźną i niezrozumiałą. Odbyte próby dowiodły, że pan Herz zdołał usunąć wszelkie niedogodności i zawady, i z odległości 1,500 kilom. (200 mil geograficznych) rozmawiać można z łatwością; głos wychodzi czysty, nie zagłuszany tonami sąsiednich drutów. Z Paryża do Bordeaux, urzędnicy telegraficzni poznawali głos osób przemawiających do wysyłaczy telefonicznych. Do wprowadzenia w ruch całego aparatu, wystarcza jeden element. Pan Herz nie wyjawił dotąd szczegółów odnoszących się do jego wynalazku; uczyni to zapewne po uzyskaniu patentu.

Nie jestże to zadziwiającem aby pakiet papieru i cynkfolii mógł tak dokładnie i z tak wielkiej odległości powtarzać dźwięki mowy ludzkiej?...

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 4 Мая 1881 г.

Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

HISTORYA PEWNEJ PARYŻANKI,

przez

Oktawiusza Feuillet,

Członka Akademii francuzkiej.

Przekład

J. BELEJOWSKIEJ.

Część pierwsza.

(Dalszy ciąg).

Pani d'Hermany, którą zaszczycała swoją przyjaźnią, była to osoba pełna ponętnego uroku; należała ona do rzadkiej, wyborowej odmiany tragicznych blondynek. Nie zbyt wysoka, imponowała jednak doskonałością kształtów i piękności, dziwnym blaskiem swych szafirowych oczu, jakiemś rozumnem promieniowaniem swego czystego, rozwiniętego czoła; w końcach ładnych usteczek rysowała się tajemnicza zmarszczka, jakby wydrążona przez gorzką pogardę. Mówiono że była bardzo nieszczęśliwą, tak więc pewne podobieństwo położenia zbliżało ją do pani de Maurescamp. I ją także wydano za mąż z grzeszną lekkomyślnością; i ona także, choć odmienną drogą, doszła do polubownego rozwodu, tak często zdarzającego się w małżeństwach wielkoświatowych. Poszła za kuzyna swego, pana d'Hermany, człowieka młodego i przystojnego, ale niewarto i złych obyczajów. Legenda opiewała iż nietylko nie zmienił życia po ożenieniu, ale że wciągał do niego żonę, już to przez dość będącą w modzie złośliwość, już też po prostu przez głupotę. Wprowadzał ją na zabawy i uciechy podejrzanego świata, na *partyjki* młodzieży, śniadania wyścigowe, kolacyjki w restauracyach. Opowiadano że na jednej z takich kolacyjek, w której uczestniczył jakiś cudzoziemski książę, młoda kobieta, obrażona wyuzdaną rozmową jaką pozwalano sobie prowadzić w jej obecności, uniosła się do tego stopnia iż uderzyła w twarz jednego z biesiadników; jak jedni mówili męża, inni że cudzoziemskiego księcia. Jakkolwiek było, czy on dostał policzek czy nie, dość że od owego czasu żona oznajmiła panu d'Hermany aby się uważał za wdowca. I nie gniewał się o to; bo nie mogąc nie uznawać niesłychanej nad sobą wyższości żony, bał jej się tak okrutnie, iż ilekroć miał udać się do niej, upijał się trochę dla dodania sobie ducha.

Pani de Maurescamp znała tę legendę bardzo zbliżoną do prawdy, i sama z siebie dosnuwała wszystko co mogło podnieść i więcej zajmującą uczynić, rolę odegraną przez panią d'Hermany. Przedstawiała ją sobie czystą i cnotliwą, popchniętą w brudną kałużę tego obydnego świata, i wychodzącą z niej nieskalaną, i lubiła otaczać piękne jej czoło nimbem młodych męczenniczek chrześciańskich. Hołd ten pochlebił i wzruszył panią d'Hermany, odpłacała się też Joannie, wprawdzie nie tak pełną uniesienia, ale szczerą przyjaźnią. Bardzo dowcipna, pięknie ukształcona, trochę artystka, zdolną była ocenić wysoką wartość i przymioty pani de Maurescamp; poznała w krótce najtajniejsze jej uczucia i myśli, a Joanna mniemała że także dobrze zna przyjaciółkę, że ta równie nieograniczonem odpłaca jej zaufaniem. Odtąd nie rozłączały się prawie; razem oddawały wizyty, razem jeździły do sklepów i magazynów; miały wspólną lożę w Operze i w Teatrze Francuzkim, razem uczęszczały na kursa w Sorbonie, a z nadejściem lata zamieszkały w Deauville, w jednej willi.

Tam to miało miejsce zdarzenie mające wyryć się głęboko w pamięci pani de Maurescamp.

Jakkolwiek dwie powabne przyjaciółki zachowywały się nienagannie, ale że żyły w wielkim świecie, otaczał je więc nieustannie rój wielbicieli. Ich paryzcy tancerze przybywali tłumnie z Trouville i Cabourg, a nadto panowie d'Hermany i de Maurescamp, ze zwykłą mężom usłużnością, przywozili z sobą pewną liczbę co sobota, aby ich czasem nie zbrakło. Hołdy tych licznych dyletantów przyjmowane były bez przesadnej skromności, ale z pewną powagą niedopuszczającą zbytniej poufałości, z tą swobodą i nieco szyderskim spokojem, cechującemi uczciwe kobiety światowe, a zdaje się i te co za nie uchodzić pragną. Gdy wieczorem panie de Maurescamp i d'Hermany zostawały same, bawiły się robiąc przegląd dziennych pretendentów; nazywały to sobie: *rzezią niewiniątek* a niekiedy *polowaniem z pochodniami*. W tych nocnych naradach, pani d'Hermany odznaczała się szczególniejszem okrucieństwem. Na czele ofiar najnielitościwiej wyszydzanych, figurował pewien młodzieniec nazwiskiem de Saville, zwany pięknym Saville'em, będący według niej najgłupszym z przewodniczących w kotylionie, jakich jej się kiedykolwiek spotkać zdarzyło. Mniej wymagająca i zgorzkła, pani de Maurescamp znajdowała go ładnym i dobrym chłopcem; w odpowiedzi, pani d'Hermany żartowała z niej, mówiąc, że odnośnie do podobnych młokosów zachowała gust pensyonarek lub gryzetek. Co do niej, gdyby dla nader słusznych przyczyn, nie była odstręczyła się i wyrzekła raz na zawsze miłości i kochanków, mogłaby tylko pokochać człowieka skończonego a nawet dojrzałego; ale gdy zaczęła opisywać owego dojrzałego człowieka któregoby pokochała, namalowała portret tak poważny i doskonały, iż do nikogo nie był podobnym.

Pewnego sierpniowego wieczora, Joanna wcześniej przeszła do swego pokoju aby napisać list do matki; skończyła go dopiero około pół nocy. Burza szalała na dworze; zbliżywszy się do okna, widziała wspaniałe błyskawice przerzynające horyzont i odbijające się na powierzchni morza. Niekiedy łączyły się z niemi dalekie grzmoty, podobne do ryku lwa w jakiejś afrykańskiej puszczy. Wiedziała że pani d'Hermany równie jak ona lubiła podziwiać te wielkie dramata przyrody, a sądząc że nie położyła się jeszcze, (powiedziała jej bowiem że tego wieczora ma także kilka listów pisać) zeszła ze schodów i lekko zapukała do drzwi przyjaciółki. Nie odbierając odpowiedzi, mniemała że już udała się na spoczynek, i przyszła jej myśl zejść samej na dół, aby z szerokich okien verandy, lepiej módz się przyjrzeć oddziaływaniom piorunu na Ocean. Skoro ze stoczkiem w ręku otworzyła drzwi salonu, nagle ujrzała w pół-cieniu dwie postacie ludzkie; z piersi jej wydarł się lekki krzyk przestrachu, stłumiła go niebawem poznając panią d'Hermany, która uchwyciła ją za ręce, mówiąc żywo:—Cicho! a zwracając się do mężczyzny stojącego na środku sali z dziwnie zakłopotaną miną, zawołała:—Idź pan sobie—Skłonił się i odszedł przez ogród. Był to piękny Seville.

Zdziwiona niepomiernie tem podwójnem odkryciem, pani de Maurescamp upuściła stoczek, który zagasł padając; następnie po kilku chwilach nieruchomego osłupienia, rzuciła się na stojącą w pobliżu kozetkę i zakrywszy twarz rękami zanosiła się od płaczu.

Pani d'Hermany zaczęła tam i napowrót chodzić po ciemnym salonie, aż nagle zatrzymując się przed Joanną, rzekła:

— A więc miałaś mnie za świętą?

— Tak, odpowiedziała z prostotą.

Pani d'Hermany wzruszyła ramionami, postąpiła kilka kroków, i zwracając się, rzekła znów:

— Jak mogłaś w to wierzyć?... Możnaż było przypuszczać że nieobryzgana i czysta, przeszłam błotnisty śmietnik do jakiego ten nędznik mąż mój mnie wprowadził?....

Joanna nic nie odpowiadała, łzy ją dławiły.

— Tak bardzo cierpisz, droga moja?

— O! bardzo, bardzo! odrzekła.

— Pójdź odetchnąć świeżem powietrzem.. chodź Joanno!

Wzięła ją za rękę, gwałtem prawie wyciągnęła na taras i posadziwszy na ławeczce stojącej na verandzie, stanęła przed nią wsparta o jedną z kolumn podtrzymujących galeryę. Zapatrzyła się w morze po którem ciągle przesuwały się świetlane odbłyski; nareszcie po dość długiej chwili, przerwała milczenie:

— Szalona jesteś, biedna moja Joanno!... równie szaloną jak ja nią byłam i jakiemi jesteśmy wszystkie rozpoczynając życie!... Koniec końcem, mąż mój mimowolnie wielką mi oddał przysługę... wyzwalając z krępujących mnie pieluszek i z nadmiaru idealności.... Prawdą jest niezaprzeczoną że wszystkie jesteśmy nader śmiesznie wychowywane... tak eteryczna edukacya obałamuca tylko umysł... prawdą jest zarówno, iż nie ma nic na ziemi — nic coby odpowiadało naszym pojęciom o szczęściu... Wychowują nas jak czyste duchy, a jesteśmy tylko kobiety, córki Ewy... nic więcej... Musimy zatem zmiejszyć nasze wymagania... lub umierać nie żyjąc... Anielskość nie jest z tego świata.. O! wierzaj mi nikt nie wszedł w świat z czyściejszą duszą.. ze szlachetniejszemi złudzeniami i głębszemi niż ja wierzeniami... I cóż mi z tego przyszło?... oto poznałam wkrótce—wprawdzie dzięki zacnemu memu mężowi prędzej może niż inne kobiety — poznałam że wszystko to nie ma celu, nie da się zastosować ani urzeczywistnić... że nikt mnie nie rozumie... że mówiłam językiem nieznanym na naszym planecie.... że jestem jedynym tego rodzaju okazem.... Trzeba więc było poddać się i spaść z tych niedostępnych wyżyn... poprzestać na jedynych rozkoszach jakiemi świat ten rozporządzać może.... Od marzeń o miłości niebiańskiej, trzeba było przejść i poprzestać na pospolitej ziemskiej... bo inna nie istnieje... bo trzeba spełnić swoje przeznaczenie, a przeznaczeniem kobiety jest kochać i być kochaną... Oto szczere zwierzenie moje!... Wiem że myślisz teraz o mnie, droga Joanno, iż jestem anioł upadły... i pragnę ciebie popchnąć do upadku... czytam to w twoich oczach za każdem mignięciem błyskawicy.... A dekoracya wybornie zastosowana do podobnej sceny!... całe niebo i mo-

rze w ogniu... a ja stoję oto z rozwianym włosem... piorunom nadstawiając czoło... A! jak to poetycznie, nieprawdaż?... Bądź co bądź nikczemna jestem mówiąc ci to wszystko... zawsze dość wcześnie dowiadujemy się o tem!

— A! czemuż mi to mówisz! zapytała Joanna, która ochłonęła i uspokoiła się nieco podczas tej dziwnej przemowy.

— Alboż wiem sama! odrzekła pani d'Hermany Ach! dzięki niebu, otóż i deszcz!

I zeszła z kilku stopni peronu, wystawiając na gwałtowny deszcz niczem nie osłoniętą głowę. Otrząsała, z deszczu rozpuszczone włosy, i zbierając krople jego zwilżała niemi rozpalone czoło.

— Proszę cię, Ludwiko, wróć na verandę, rzekła łagodnie Joanna.

Weszła powoli po schodkach i zatrzymując się przed Joanną, rzekła wyniosłym, urywanym głosem:

— Zapewne mamy się rozstać i pożegnać?

— Po cóż?... odrzekła Joanna, wstając. Nie mam pretensyi przerabiania świata... Proszę cię tylko abyś mi nigdy nie wspominała o swych miłostkach.. pod innemi względami zgodzimy się z sobą.. Przyjaźn twoja pozostanie mi pożądaną... a sądzę że i moja nie będzie bez korzyści dla ciebie.

Pani d'Hermany pochwiła ją w objęcia i gwałtownie przyciskając do serca zawołała:

— Dziękuję ci, dziękuję!

Przeszły do swoich pokoi. — We dwie godziny później, wschodzące słońce zastało Joannę siedzącą na łóżku, z twarzą zalaną łzami, z oczami zapatrzonemi w przestrzeń.

IV.

Nic nie wstrząśnie tak gwałtownie moralną naszą istotą, jak odkrycie słabości i upadku osób będących w naszem przekonaniu uosobieniem wszelkiego dobra, zacności i szlachetności, bez względu czy są to krewni, przyjaciele czy zwierzchnicy. Przestając szanować tych w których złożyliśmy całą ufność i otaczaliśmy największym szacunkiem, jesteśmy skłonni do niewierzenia w cnoty, których oni żywym dla nas byli obrazem. Fałszywe bożyszcza samą nawet religię podejrzywać nam każą.

Niedostateczna ta, ale całkiem zgodna z naturą ludzką przyczyna, stała się powodem, że poznawszy moralną nicość przyjaciółki, pani de Maurescamp popadła w bardzo boleśne i niebezpieczne zarazem zwątpienie i zniechęcenie. Szlachetność charakteru nie dozwalała jej tak nagle zerwać tak drogiej sobie dotąd i tak powszechnie wiadomej przyjaźni, czuła jednak w sercu iż ona już istnieć przestała. Bez wątpienia ceniła ona bardzo rzeczywiste przymioty pani d'Hermany, ale niezawodnie stokroć wyżej jeszcze te jakiemi ją obdarzała. Promienna aureola jaką otoczyła jej czoło zgasło niepowrotnie, a co gorzej zgasła w błocie jak słońce fajerwerkowe. Może wybaczyłaby jej miłość, nawet występną, gdyby przynajmniej sam jej przedmiot ją usprawiedliwiał, gdyby pokochała Byrona, Dante'go lub Goethe'go—ale nie mogła jej przebaczyć pięknego Saville'a. Nie mogła przebaczyć obłudnej przesady z jaką okrywała go śmiesznością, ale najgorzej darować nie mogła że ją samą pragnęła zdemoralizować, przedstawiając z szatańską pychą swe przewrotne teorye, a to tem więcej, iż czuła, że jej się to udało w połowie, i że zadana trucizna powoli, coraz głębiej wnikała w jej żyły.

Jakoż pod wrażeniem nowego tego rozczarowania, Joanna de Maurescamp spoglądała teraz na świat ze słabszemi złudzeniami, z mniejszym optymizmem niż dotąd. Na wszystko co się w około niej działo, patrzyła doświadczeńszym wzrokiem; wiele z tych pogłosek które brała za potwarz, teraz wydały jej się prawdopodobnemi; wiele stosunków uważanych za najniewinniejsze, obecnie stawały się podejrzanemi. Jak pierwej przypisywała światu więcej cnót niż w nim ich istnieje; tak teraz żadnych prawie w nim nie widziała. I zaczęła zadawać sobie pytanie, czy rzeczywiście nie jest ona, jak to powiedziała pani d'Hermany, jedynym w swoim rodzaju okazem, czy jej uczucia i pojęcia o życiu a szczególniej o miłości, nie były jedynie wytworem sztucznie wyhodowanym, wynikiem wyobraźni oszukanej kłamstwem poetów, czy nareszcie jaka taka rozkosz, nie była lepszą niż nic.

Jakże zajmującem jest, jak żywe budzi wrażenie widok młodej i uczciwej kobiety, która doszedłszy do tej nieuniknionej niemal stacyi życia światowego, waha się i walczy z miotającym nią dręczącym niepokojem, aż stanie na pochyłości z której można upaść tak nagle z nadmiaru ideału, w bezmiar realizmu.

Nietylko filozofowie ale i znaczna liczba ciekawych, śledzi zawsze z zajęciem ten rodzaj małych dramatów. Jakże to wiele jest na świecie ludzi nie mających nic lepszego do roboty, obiecujących sobie jakąś korzyść z mającego nastąpić rozwiązania dramatu a tem samem pragnących je przyśpieszyć. Jednym z najzmyślniejszych w tym rodzaju, był wówczas niejaki wicehrabia de Monthelin, dobrze znany w wielkim świecie paryzkim. Nie grywał w karty, nie palił, nie często bywał w klubie, oddając się wyłącznie miłości, której gorącym był czcicielem. To samo już wielkim stawało się tytułem do względów dam. Po obiedzie, gdy inni panowie wychodzili z salonu aby palić cygara, on zawsze zostawał z paniami. Wszystko to zapewniało mu wielkie korzyści, których umiał nadużywać. Nie był już tak młody, ale przystojny, elegancki, dowcipny, przybierający w obejściu pewne odcienia rycerskości, chociaż serce jego było stekiem zepsucia. Całe swoje, dość długie już życie, poświęcał przewąchiwaniu nieszczęść zagrażających niedobranym małżeństwom, i dokonywał ich zguby—była to jego specyalność. Obok tego, odbył parę szczęśliwych pojedynków — z tych jeden z hrabią Jakóbem de Lerne, który go nazwał *rekinem salonowym* — co było uwieńczeniem salonowej jego wziętości.

Zaraz pierwszej zimy po owym sezonie który obie przyjaciółki spędziły w Dauville, można było dostrzedz iż pan de Monthélin uważał sobie panią de Maurescamp za dojrzałą zdobycz. Starał się o coraz większą przyjaźń i zaufanie pana de Maurescamp, a jednocześnie coraz więcej zacieśniał linie operacyjne, jakie zakreślał około jego żony. Zaczął dość często bywać u niej o szarej godzinie; umiał się tak urządzić iż co rano spotykał ją w lasku, i jak najregularniej ukazywał się w jej loży, w piątek w Operze, we wtorek w Teatrze francuzkim.

Joanna upadająca pod brzemieniem denerwującego rozstroju moralnego i rozpaczliwego osamotnienia, mimowolnie ulegała zaczarowanemu urokowi, jaki zawsze niemal wywiera na kobiety silna i niezłomna wola mężczyzny. Umiejętne, dobrze obrachowywane nieustane manewra i obroty dokonywane przez pana de Monthélin, zamykały ją jakby w czarnoksięzkiem kole, sprawiającem zawrót głowy. Powoli zaczęła okazywać mu drobne, niby nic nie znaczące względy, ale których kobieta starannie unikać powinna, gdyż zwykle doprowadzają stopniowo do zupełnego upadku. Weszło w zwyczaj, iż zawiadamiała go jakie zamierza oddać wizyty, gdzie mógłby spotkać się z nią w ciągu dnia, a nareszcie w których godzinach najprawdopodobniej zastanie ją w domu. Na balach, ponieważ nie tańczył, zachowywała dla niego parę tańców siedzących, nastręczając tem samem sposobność do sam na sam po za wachlarzem, wśród cieniu krzewów zdobiących salony. Wszystko to sprawiało jej pewien rodzaj dość zajmującego niepokoju, jakieś drażniące nerwy poczucie niebezpieczeństwa, sprawiającego złudzenie sercowego uczucia. Tym sposobem biedna Joanna, wstąpiła prawie bezwiednie na drogę wiodącą do najnędzniejszego upadku, gdy wtem nowa osobistość przyjęła udział w dramacie.

Była to nie młoda już kobieta, hrabina de Lerne, matka owego Jakóba de Lerne, który kilka lat temu został w pojedynku raniony przez pana de Monthélin. Pani de Lerne miała wiele dowcipu i rozumu, nie była złośliwą, ale nigdy żadnych nie miała zasad. Będąc za młodu więcej jak zalotną, umiała uniknąć śmieszności aby na starość zostać przesadzoną skromnisią. Jej wyrozumiałość i pobłażliwość dla słabości którym sama podlegała dawniej, zawsze dobry humor, uczynność, wreszcie familijne i majątkowe stanowisko, sprawiały iż lubiono ją powszechnie, pomimo iż pamiętano jej nie zbyt przykładną młodość. Miała salon w którym przyjmowała wyborowe towarzystwo, znakomitości świata politycznego, literackiego i artystycznego, prócz tego starała się zawsze o kilka młodych i pięknych pań, dla ozdoby i ożywienia wieczorów. Piękna, pełna prostoty i zarazem pańskiego uroku, Joanna de Maurescamp, była najgłówniejszą ozdobą wzorowego tego i wykwintnego salonu; to też hrabina nie szczędziła jej pochlebstw, otaczała szczególnemi względami, chcąc ją do niego przyciągnąć i zatrzymać. Podwójny powód skłaniał ją do tego: jeden, wcale nienaganny, aby obecnością jej uświetnić swoje przyjęcia; drugi, do którego nie przyznawała się — chciała aby syn jej zakochał się w pani de Maurescamp.

Przed siedmiu czy ośmiu laty, straciła starszego swego syna, Gwidona de Lerne; właśnie po jego śmierci, młodszy, Jakób, ukończył szkołę Saint-Cyr. Widząc że matka pozostała zupełnie osamotnioną, podał się do dymisyi i zamieszkał przy niej. Był-to młodzieniec wielkiemi obdarzony zdolnościami, i gdyby chciał tylko, mógłby zamienić je na skończone talenta. Malował bardzo udatne akwarelle, grał bardzo pięknie, a niektóre walce, kołysanki i symfonie jego układu, znamionowały prawdziwego artystę. Lecz czy to przez wrodzone niedbalstwo, czy też zniechęcony zwichnięciem obranego zawodu, pozostał prostym dyletantem, a co gorzej wiódł życie nie bardzo przykładne. Wyjąwszy w salonie matki, gdzie z obowiązku bywać musiał, rzadko bardzo spotykano go w towarzystwach wielkiego świata, w których się nudził, ale za to widywano go bardzo często na zebraniach pół-światka, gdzie zdawał się bawić wybornie. Trzeba oddać tę sprawiedliwość pani de Lerne, iż najpierw starała się nakłonić go do ożenienia, gdy jednak ani słyszeć o tem nie chciał, uchwyciła się tej myśli, iż gdyby się zakochał w kobiecie z odpowiedniej sobie sfery, wtedy przynajmniej porzuciłby złe towarzystwo. Za nadto wiele miała doświadczenia, aby nie odgadnąć jak nieszczęśliwem było domowe życie Joanny de Maurescamp, i dlatego ją to obrała na zbawczynię swego syna. Nie zwierzając mu się bynajmniej z tego zamiaru, starała się aby syn jej jak najczęściej widywał tę pełną nieprzepartego uroku kobietę, korzystając zarazem z każdej sposobności aby wynosić w obec niego jej niezrównane zalety i przymioty.

Lecz jakkolwiek uderzyła Jakóba doskonała piękność i wysokie umysłowe ukształcenie Joanny, jednakże gdy matka mówiła o niej nie objawiał nic prócz obojętnej ciekawości. Mimo to hrabina nie zaniechała powziętej myśli, nie przestała bacznej zwracać uwagi na Joannę, a widząc iż mogłaby wpaść w sidła zastawione przez pana de Monthélin, postanowiła uciec się do jakiegoś bohaterskiego kroku, tak w interesie syna, jak i przez nienawiść do człowieka który o mało jej go nie zabił.

W tym celu, pewnego poranku napisała do Joanny, iż, jeźli nie przeszkodzi jej w jakichś zamiarach, pragnie odwiedzić ją o trzeciej, aby zrobić jej miłą niespodziankę i pomówić w bardzo ważnej sprawie Nieco zadziwiona tym tajemniczym bilecikiem, Joanna odpisała iż czekać będzie o oznaczonej godzinie. Hrabina weszła do jej buduaru a za nią lokaj niosący śliczny maleńki domek koszykarską robotą, ozdobiony pasmanteryą, frendzlą i kwastami, jakie obecnie wyrabiają dla pokojowych piesków. Sama pani de Lerne piastowała na ręku maleńkiego pieska, ze ślicznym białym jedwabnistym włosem, który podobno był meksykańskiego pochodzenia i ogólny budził podziw.

— Śliczna moja pieszczotko, rzekła do Joanny, unosiłaś się tak nad moim pięknym Toby, pozwól mi więc ofiarować go tobie.

— Ależ to niepodobna! zawołała pani de Maures camp.

— Od dawna już zadawałam sobie pytanie, mówiła dalej pani de Lerne, czem mogłabym dać choć słaby dowód wdzięczności dla młodej, tak jak ty uroczej kobiety, za jej uprzejmość i dobroć dla starej przyjaciółki... Taka względność to rzecz tak rzadka... a ja tak żywo umiem ją odczuć i ocenić!.... Nie uwierzysz jak jestem szczęśliwa że mogłam wymyśléć coś, co może ci zrobić przyjemność.

Joanna nie mogła jakoś przypomniéć sobie aby kiedyś objawiała tak wielkie uwielbienie dla Toby, nie mogła jednak nie oceniać uczynionej sobie ofiary.—Dobra... kochana pani, rzekła zmieszana nieco, nie powinnabym przyjąć. . piesek ten taki śliczny, taki niezwyczajny... I pani pozbawiasz go się dla mnie.... A i ten domek tak piękny... nie, to być nie może... To powiedziawszy rzuciła się na szyję pani de Lerne, co widząc Toby zaczął szczekać,

— Pójdź, pieszczotko moja, rzekła Joanna biorąc go na ręce i okrywając pieszczotami.

Usiadły, i pani de Lerne odpowiadając na pytania Joanny, objaśniała ją jak ma doglągać, żywić a w potrzebie i leczyć ślicznego Toby. Po chwili zapytała jak się miewa pan de Maurescamp.—Zresztą, dodała, niepotrzebnie i pytam o to... dość spojrzéć na niego aby widzieć że jest uosobionem zdrowiem... Co za siła!... doprawdy miło patrzéć na niego!...

— A jakże się miewa syn pani? zapytała Joanna.

— Syn mój? .. ach! co do niego, to całkiem inny rodzaj... rodzaj wybranych... pojmujesz?... natura czysto artystyczna... Ach! gdybyż to tylko było przeciwko niemu!...

— Ale przecież jest dobrym synem, rzekła łagodni pani de Maurescamp.

— Dobrym, jak najlepszym synem!... tego niepodobna nie uznać... Powiedz mi, drogie dziecię, czy nie masz nic ułożonego na jutro?... środa, to mój dzień.... bądź u mnie na obiedzie... będzie przyjaciółka twoja, pani d'Hermany...

— Najchętniej... zdaje mi się że pan de Maurescamp nie rozporządził jeszcze dniem jutrzejszym.

— Doskonale!.. liczę więc na was oboje.

Pani de Lerne wstała jakby chcąc odejść, lecz pierwej musiała pożegnać się z Toby, co pani de Maurescamp dało powód do nowych podziękowań i oświadczeń wdzięczności. Nareszcie z ust jej wyszły słowa gorąco oczekiwane przez panią de Lerne, które w ostateczności byłaby sama wywołała.

— Ale cóż ja mogłabym zrobić aby się pani wywdzięczyć?

Pani de Lerne prędko zwróciła się do niej, i spoglądając na nią z miłym uśmiechem starej kobiety, rzekła:

— Ożeń mego syna.

— O! co do tego, zawołała wesoło pani de Maurescamp, jest to zadanie do którego nie czuję się zdolną.

— Dlaczego? ja przeciwnie wyobrażam sobie, że jesteś do niego zdolniejszą niż ktokolwiek inny.

Nie odpowiadając, Joanna zwróciła na nią pytające spojrzenie.

— Doprawdy, najmocniej jestem przekonaną, że syn mój chętniej pojąłby za żonę kobietę wybraną przez ciebie, niż przez kogo bądź innego.

— Żartuje kochana pani, odpowiedziała, wlepiając w panią de Lerne zadziwione oczy.

— Nie żartuję bynajmniej, i gdybyś tak miała siostrę podobną do siebie, zdaje mi się iż sprawa ta poszłaby łatwo i prędkoby się skończyła.

— Wierzaj mi pani iż zupełnie tego nie pojmuję... syn pani prawie mnie nie zna.

— Daruj, moja droga, ale mylisz się... syn mój znacię doskonale... nie wiesz jak bacznym, jak przenikliwym jest on dostrzegaczem... nic nie ujdzie jego oka... Wiem ja doskonale jak on ciebie wysoko ceni.... ale na cóż mam rozwodzić się nad tem... Jestem jak najpewniejsza że odnośnie do ożenienia się, mogłabyś wywrzéć na niego wpływ przeważny... wpływ niezrównany... Gdybyś tak zaleciła mu jakąś młodą osobę.. jakąś twoją przyjaciółkę.... słowo daję, wierzę najzupełniej iż pojąłby ją z zamkniętemi oczami!...

— Nie mogę temu wierzyć! zawołała Joanna.

— A ja wierzę niezachwianie... sprobuj a przekonasz się.

Obiedwie śmiać się zaczęły.

— Żart na stronę, rzekłą hrabina, pomyśl o tem trochę... Poszukaj między twemi przyjaciółkami i znajomemi... Ach! jakże to nieocenioną oddałabyś mi przysługę!....

— Ale, najpierw muszę się przyznać, że strasznie boję się syna pani.

— Cóż znowu! zawołała pani de Lerne, z miną bezmiernego zadziwienia.

— Mówię szczerze... pan Jakób ma minę takiego szydercy..... dowcip tak ostry i pełen goryczy.... a nadto....

— A nadto jest wielkie nic warto—czy to chciałaś powiedzieć?

— No.... nie wiem... nic mnie to nie obchodzi...

— Że jest nic warto — pod pewnym względem— temu zaprzeczyć nie mogę.. ale też jak wielu podobnych, ma złote serce — a w dodatku jest pełen powabu i wiele posiada zalet... Ach! kochane dziecię, jakże to miłosierny spełniłabyś uczynek, gdybyś mi dopomogła wyrwać go ze szponów tej Łucyi Maryi.. bo ona to teraz... wszak wiesz?

— Ach!

— Tak... ta z Opery.., grywa rolę paziow... A! to okropne... straszne... dowiesz się o tem, jak syn twój dorośnie... Nim to nastąpi, postaraj się ożenić mojego, a pięknego dokonasz dzieła... powtarzam iż chyba tylko ty jedna zdolną jesteś dokazać tego cudu... Bywaj zdrowa, drogie dziecię! — Uściskawszy ją, zwróciła się ku drzwiom, lecz doszedłszy do nich, odwróciła się jeszcze, mówiąc:—Wszak jutro wieczorem wspomnisz mu o tem?

— No, nie wiem — będę się starać, odrzekła Joanna.

Hrabina odjechała, bardzo zadowolniona ze swej wyprawy; i zadowolnienie to nie było bezzasadne, ponieważ po raz pierwszy od kilku miesięcy, wyobraźnia Joanny zajętą była kimś innym niż panem de Monthélin. Zrozumiała dobrze iż swemi uniewinnieniami i przemilczeniami, pani de Lerne chciała jej dać do zrozumienia że Jakób de Lerne jest gorącym jej wielbicielem. Czemu i dlaczego? co mogą mieć z sobą wspólnego? pojąć nie mogła — dziwiło ją to i intrygowało zarazem. Rzuciwszy się na fotel, zaczęła myślą przywodzić sobie na pamięć, gdzie i kiedy się widzieli i w jakich okolicznościach, co do niej mówił, jakim głosem i z jakim wyrazem oczu — chcąc w tem wszystkiem dopatrzéć się czegoś, coby potwierdzało tajemnicze zwierzenia starej hrabiny.

Co do niej, powiedziała szczerą prawdę, że wysoki ten młodzieniec, dowcipny, zimny, znudzony, onieśmielał ją niezwykle; zawsze uczuwała jakiś niepokój, ilekroć zbliżał się do niej w salonie. Zdawało jej się jednak iż przypomina sobie że względem niej okazywał się wyjątkowo uprzejmym, i nigdy nie pozwalał sobie sarkastycznych żarcików jakiemi tak hojnie obdzielał inne kobiety. Pochlebiał jej ten szacunek okazywany przez takiego lekceważącego wszystkich hulakę. Przypominała sobie jego piękną twarz nacechowaną znudzeniem i dumą, jego wielkie przenikliwe oczy, piękne usta i eleganckie wąsiki. Uśmiechała się na samą myśl, iż ma przybrać protekcyjne macierzyńskie obejście, względem tego którego zawsze się obawiała — i mówiła sobie że nigdy się na to nie odważy.

Gdy tak zatopiona w myślach, głaskała machinalnie małego Toby, drzwi się otworzyły i ukazała się wykwintna postać i piękne czarne faworyty pana de Monthélin.

Mały Toby który nigdy nie widział *rekina salonów*, a ponieważ pan de Monthélin nie bywał u pani de Lerne — wziął go widać za złoczyńcę a zarazem chciał pokazać że go się wcale nie boi. Zeskoczył z kolan swej nowej pani, i odważnie stanął przed nią szczekając z całych sił, przyskakując i szarpiąc ubiór nieprzyjaciela. Nic tak nie psuje szyków adonisa wchodzącego do salonu kobiety której względy pozyskać pragnie, jak jakiś podobnie błahy wypadek. Joanna de Maurescamp była równie przenikliwą, jeźli nie przenikliwszą jeszcze jak inne kobiety, nie mogła się nie rozśmiać patrząc na sprzeczność jaką stanowił wdzięczny uśmiech z jakim pan de Monthélin nie chciał się rozstać, z widocznym gniewem i pewną obawą jaką przejmowała go napaść Toby. Tym sposobem, jak gdyby wchodząc w widoki i przystępując do spisku uknutego przez panią de Lerne, małym współudziałem swoim, Toby bardzo się przyczynił do jego powodzenia.

Pan de Monthelin rozumiał doskonale iż po takim prologu, scena romantyczna jest niemożebną. I dlatego w dniu tym poprzestał na smętnie-czułej rozmowie o uczuciach, a nie mogąc zadusić Toby, zdobył się na to że go głaskał i pieścił.

V.

Nazajutrz, Joanna nie bez pewnego wewnętrznego niepokoju czy wzruszenia, wsiadła z mężem do powozu, aby pojechać do pani de Lerne. Dnia tego długo namyślała się jak się ma ubrać, i po głębokiej rozwadze postanowiła przywdziać strój

poważny, odpowiadający roli jaką odegrać miała. Włożyła ciemną aksamitną suknię ale wycięty stanik i króciutkie rękawy ujmowały powagi; czuła to dobrze, ale na to poradzić nie mogła.

Przy obiedzie Jakób de Lerne siedział między nią a panią d'Hermany. Mając już nabitą trochę głowę ową tajemną czcią i uwielbieniem, jakiemi miał ją otaczać, nie mogła nie zauważyć iż rzeczywiście były one doskonale utajone. Pan de Lerne zaledwie parę słów przemówił do niej, rozmawiając wyłącznie z sąsiadką z prawej strony. Zaczęła przysłuchiwać się ich rozmowie: usłyszała między innemi że po wzajemnych ostrych przycinkach i dowcipnych słówkach, pani d'Hermany wyrzucała mu złośliwość, z jaką wszystkim nadawał jakieś przezwiska. Pewna jestem, dodała, że i mnie to nie minęło?

— Niepodobna nawet wątpić o tem, odpowiedział Jakób.

— Niechże wiem jakie? zapytała zwracając na niego swe piękne oczy.

— *Cicha-woda*! odrzekł pół głosem, pochylając się nieco ku niej.

— Dlaczegóż *Cicha-woda*?

— Tak sobie!... jest to imię indyjskie.

— A ja? zapytała śmiejąc się Joanna, czy także mam jakie przezwisko?

— Pani — rzekł poważnie wpatrując się w nią i pochylając głowę — pani żadnego.

Widząc że ją to trochę zmieszało, zmienił rozmowę i zaczął mówić o muzeach, o nowych sztukach teratralnych, o obcych krajach które zwiedzał, krótkie zaledwie zadając jej pytania, jakby dlatego jedynie aby mieć przyjemność słuchać jej odpowiedzi, i zwracając zarazem na nią poważne i łagodne spojrzenia, jakby zachęcające ją aby odpowiadała dobrze.

A więc tak, niezaprzeczenie zachodziło tu coś nadzwyczajnego!... czy to przemawiając, czy słuchając, czy patrząc na nią, Jakób wyraźnie nadawał temu jakiś niewysłowiony odcień dobroci i szacunku, z jakiemi nie zwracał się do innych kobiet. ....Jak też mogła nie dostrzedz tego pierwej?... Szczególniejsza rzecz!... i tem szczególniejsza że ona nic, ale to nic a nic nie była podobna do tego rodzaju kobiet, jakie mogą podobać się takim panom... Ale zawsze wielka to uprzejmość z jego strony — i od tej chwili Joanna gorliwiej i chętniej zajęła się zleconem sobie zadaniem ożenienia młodzieńca, który pomimo złych stosunków, miał przecież swoje dobre strony. I myślą dokonała przeglądu wszystkich panien jakie znała i które mogłyby stanowić odpowiednią dla niego partyę — ale jakoś ani jednej takiej nie znalazła.

Po obiedzie, część biesiadników przeszła na cygara, pan de Lerne chciał iść za nimi, ale matka go zatrzymała, mówiąc:—Proszę cię, Jakóbie, zanim wszyscy do nas powrócą, zagraj dla pani de Maurescamp twego ostatniego walca... nie zna go... a pewna jestem że się on jej podoba.

— Proszę o to uprzejmie, rzekła Joanna.

Pan de Lerne ukłonił się i siadł do fortepianu. Zagrał najpierw swego walca, a po nim kilka jeszcze kawałków, na żądanie Joanny. Powoli, jak to zwykle bywa, przez grzeczność posłuchawszy muzyki przez kilka minut, obecni zaczęli następnie rozmawiać z sobą po kątach salonu; tak więc pani de Maurescamp pozostała przy Jakóbie i przy fortepianie stojącym w samym końcu wielkiego salonu.

Gdy Jakób przestał grać i tylko machinalnie przesuwał palce po klawiszach, pani de Maurescamp uznała że była to właśnie stosowna chwila do rozpoczęcia rozmowy.

— Jak śliczny posiadasz pan talent! rzekła, a wiem że i malujesz pan także.

— Tak, smaruję trochę po płótnie.

— Jak dziwne... jak niepojęte sprzeczności spotykają się na świecie!... wyszeptała Joanna, jakby mówiąc sama do siebie.

— Czy to ja dałem powód do tego spostrzeżenia?

— Tak... masz pan skłonności i upodobania skłaniające mężczyznę do umiłowania życia rodzinnego... a spędzasz życie... w klubach.

— Cóż robić!... odrzekł pan de Lerne.

— Panie de Lerne... rzekła znów, i trzymany wachlarz prędzej poruszać się zaczął.

— Pani?

— Pomyślisz pan, że jestem bardzo niedelikatna...

— Ach! pani, jestem tak pobłażliwy!...

— Matka tak pragnie żeby się pan ożenił.

— O tem nie wątpię.

— I nie chcesz pan!

— Tak, pani, nie chcę najzupełniej.

— Czy masz pan jakie powody?

— Jedną, jedyną; nie znam na świecie godnej mnie kobiety.

— A! mój Boże!...

— To jest, przebacz pani, rzekł poważnie, znam jedną... ale pani nie jesteś już wolną... a potem...

— Potem?... zapytała marszcząc brwi.

— Potem... i pani możesz zejść na złą drogę.

— Panie de Lerne!...

— Daruj pani... ale takie jest moje zdanie.

— Z powodu?

— Z powodu że złych sobie dobierasz przyjaciół.

— Ma to znaczyć, zapewne, iż zawiniłam nie wybierając pana de Lerne.

— O nie!.. bynajmniej!... a jednak jakimbądź dziś jestem, mógłbym był jednak pojąć a nawet podzielać miłość aniołów.

— A! doprawdy odrzekła śmiejąc się pani de Maurescamp, jeźli wierzyć temu co mówią, strasznie panu daleko do miłości aniołów.

— Cóż pani chcesz! zrażono mnie do niej... odrzekł śmiejąc się także... Czy pozwolisz pani opowiedzieć sobie nieco skandaliczną historyjkę?

— Będzie to niezawodnie bardzo zajmujące... tylko że zapewne odejdę nie dosłuchawszy do końca.

— Nie sądzę... Historya ta wytłomaczy pani wiele rzeczy... są to dzieje pierwszej mojej miłości... w której zachowałem się jak dzieciak... Ale nie uprzedzajmy wypadków.

— Miałem wtedy lat dwadzieścia-jeden, i jakkolwiek dziwnem wydać się to może, nigdy jeszcze nie kochałem... Muszę wyznać iż wytworzyłem sobie wtedy nadzwyczaj wzniosłe pojęcie o kobiecie i o miłości, uważałem je prawie za świętość. Ukrywałem w sercu prawdziwy skarb nieograniczonego poświęcenia, uczucia i poszanowania, których nie chciałem oddać lekkomyślnie... Nareszcie napotkałem kobietę którą ukochałem jak kochaną być pragnęła, a która kochała mnie jak chciała. Należała do najwyższych sfer towarzyskich; ma się rozumieć była zamężną, a jak mówiła bardzo nieszczęśliwą z powodu niedobranego związku... Nie była już zbyt młodą, lecz kochałem ją za to jeszcze więcej, ponieważ dłużej cierpiała... Zresztą była jeszcze bardzo piękną—choć blondynką; a pod względem uczciwości tak surową i drażliwą iż przywodziło mnie to do rozpaczy... bo choć była mi świętą, ale miałem lat dwadzieścia... Ale trzeba było ją szanować lub się rozstać—Nasze sam na sam zdarzały się rzadko i trwały bardzo krótko, gdyż, jak mówiła, mąż jej jest zazdrośny i śledzi ją bacznie. Można wprawdzie było uciec się do pospolitych sposobów, widywać się gdzieś w umówionem miejscu, ale odwracaliśmy się od tego ze wstrętem, nie chcąc poniżać naszej miłości... Tak upływały miesiące pełne zarazem uroku i przymusu jaki zadawaliśmy sobie. Jednakże pomimo surowości do jakiej zniewalało ją sumienie—a może właśnie skutkiem tej surowości — byłem tak zakochany i tak szczęśliwy jak tylko być można na świecie. Jakąż to upajałem się radością że mogę oddać tej ukochanej istocie całe jej zaległe szczęście, niezatruwane żadnym wyrzutem, gdyż była ze mną jak siostra z bratem... a i to już niewysłowioną napawało mnie rozkoszą.

Było to na wsi, sąsiadowaliśmy z sobą. Pewnego dnia mąż wyjechał do Paryża na cały dzień, miał wrócić nazajutrz rano. Po długich błaganiach i przysięgach, uprosiłem że pozwoliła mi przyjść na godzinę późnym wieczorem...

— Daruj pan że przerywam, rzekła pani de Maurescamp unosząc się nieco na fotelu, ale mam ochotę odejść.

— O, nie! możesz pani pozostać. Przyszedłem tedy; pokój wychodził na ogród, rosnące tuż pod oknem jaśminy i róże, upajającą woń w nim roztaczały. Sam nie wiem czy ta woń odurzająca czy samotność nasza oddziaływały na mnie tak silnie, ale przyznać muszę iż byłem śmielszym niż zwykle. Dziś jeszcze z przykrością uprzytomniam sobie w myśli tę scenę. Biedna kobieta składając ręce błagała abym pozostał uczciwym człowiekiem; pytała ze łzami czy nie jestem szczęśliwy, czy mógłbym być szczęśliwym zatruwając jej spokój... co więcej nigdy nie przeżyłaby swego upadku... Zwyciężyła. Uległem jej łzom i własnemu poczuciu że nic nie może dorównać rozkoszy uczucia tak czystej i niewinnej przyjaźni... odszedłem. Stanąwszy w alei odwróciłem się aby jej raz jeszcze przesłać pożegnanie. Stała w oknie z założonemi rękami; wzruszając lekko ramionami, rzekła pogardliwie:

— Bywaj zdrów... i nie wracaj.

Nie widziałem jej więcej; od owej chwili zamknęła przede mną drzwi, okno i serce,

Pani de Maurescamp słuchała go z wielką uwagą; gdy skończył zapytała wpatrując się w niego:

— Więc wywnioskowałeś pan z tego?

— Że nie umiem sobie radzić z damami wielkiego świata.

— Jeźli jednak na usprawiedliwienie swego lekceważenia kobiet, nie masz pan ważniejszych powodów nad to wspomnienie lat młodzieńczych...

— A! mam, niestety!

Wypowiedział to tak niezwykłym głosem, że Joanna prędko spojrzała na niego i nie pomiernie zadziwił ją boleśny wyraz pojawiający się nagle na jego twarzy.

— Mam inne, przerażające i sztraszne, rzekł jeszcze, a po chwili dodał: Jesteś pani kobietą nadzwyczaj zacną i pełną dobroci, dla której jak najgłębszy uczuwam szacunek... ale boleśnych powodów moich, nawet tobie pani wyjaśnić nie mogę.

Nieco zmieszana, powstała mówiąc wesoło:

— Czy czasem nie kompromituje mnie tak długa rozmowa.

Jakób powstał także:

— Przebacz pani że zatrzymałem ją tak długo.

— Odchodzę, ale nie wyrzekam się chęci przekonania pana.

Skłonił się głęboko nie odpowiadając.

(D. c. n.)



N. 3. Rzucik na haft srebrem do ryc. 9.

Opis do N. 21.

(Dalszy ciąg).

O welonach ślubnych to samo powiedzieć można co i o sukniach, że dla młodych osób najodpowiedniejsze są illuzyowe; musimy przyznać że najidealniej przedstawia się młodziutka narzeczona w powiewnej białej sukni przykrytej welonem illuzyowym, spadającym na twarz i otaczającym całą postać jakby obłoczkiem świetlanym. Koronkowy welon choćby najkosztowniejszy nie może być tak lekkim i stosowny jest tylko przy sukniach z ciężkiej materyi.



N. 1. Żabot przepięty szpilką ozdobną.

Welony spadające na całą suknię używają się tylko dla panien, wdowy zaś zamiast mirtu używają róż białych, a welony mają formę szala 280 cent. długiego, a 60 c. szerokiego, spadającego w dwóch nierównych końcach. Na taki welon illuzya jako zbyt lekka zastępuje się koronką lub blądyną, która przy srebrnem weselu może być wywodzona srebrną nitką i przypięta bukietem ze srebrnego kwiatu mirtowego.

Uroczysty obchód srebrnego wesela wymaga toalety bardzo wspaniałej z ciężkiej i kosztownej materyi; atłas i faille stosowne są na suknie zdobne garnirunkami, z wszelkich innych ciężkich materyi powinny być gładkie. Biały kolor zastępuje się jasnym popielatym lub żółtawo - popielatym zwanym



N. 4. Rzucik na haft srebrem do ryc. 9.



N. 2. Żabot z materyi i koronki.



N. 5. ubranie dla dziecka. N. 6. Ubranie małej dziewczynki. N. 7. Ślubne ubranie dla młodej osoby. N. 8. Ubranie do złotego wesela.



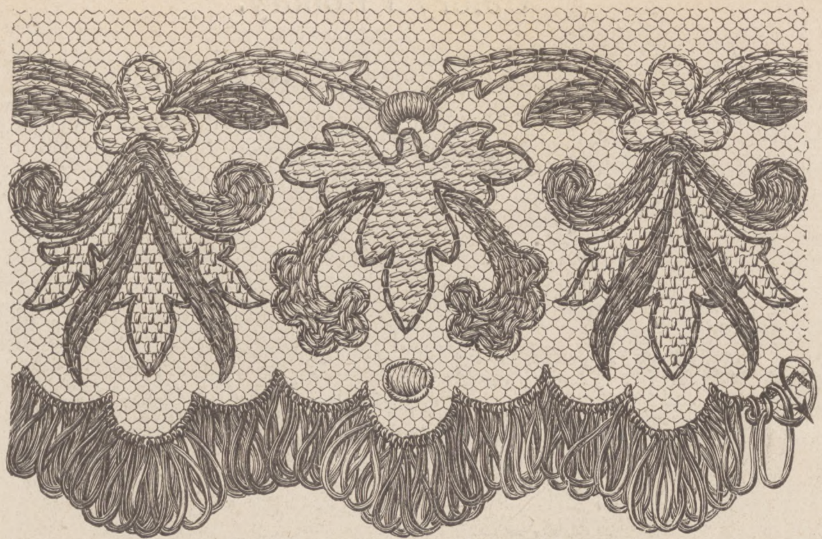
N. 9. Ubranie do srebrnego wesela. N. 10. Sukieneczka z wyciętym bluzkowym stanikiem.



N. 11. Ubranie dla mężatki odpowiednie na wesele. N. 12. Ubranie dla druhny.

„cendre de rose” odpowiednim również na ślubną suknię dla wdowy. Przód sukni ozdobić można haftem w bogaty ciągniony desen, lub w rzucik jak na ryc. 3 i 4.

Szczęśliwa jubilatka przystępująca do złotego wesela, bierze znowu suknię zupełnie gładko odrobioną, którą można ozdobić koronkami wzdłuż przodu, dodać wielki koronkowy kołnierz



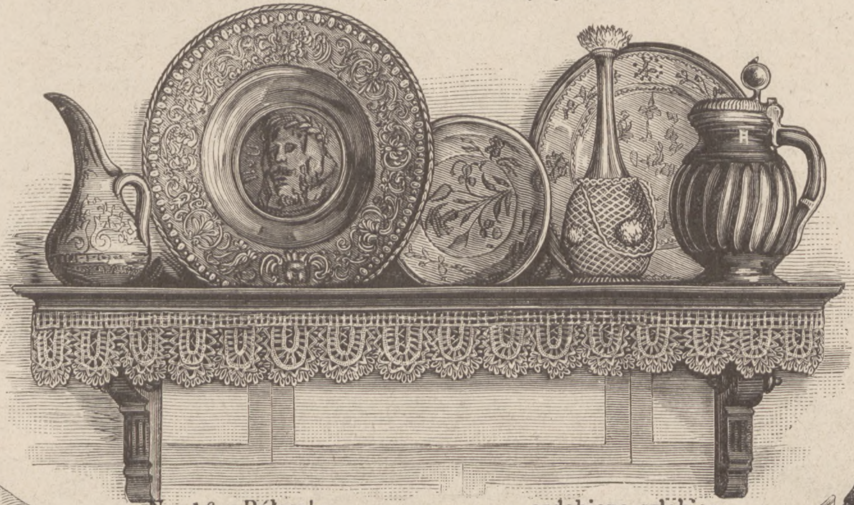
N. 13. Koronka wywodzona kolorowym jedwabiem.



N. 14. Woreczek do robót.

i mankiety na wierzchu rękawów. Na głowie czepeczek blondynowy, przyciśnięty złotą koroną i przysłonięty długim welonem, którego brzegi zakończa haft złoty.

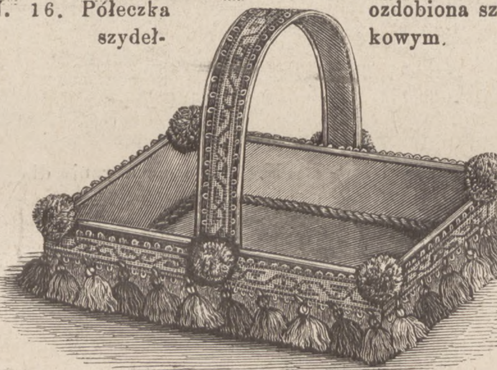
Toalety dla gości weselnych nie różnią się niczem od toalet balowych; zebranie weselne tem się różni od balowego, iż mają na nie wstęp osoby różnego wieku zacząwszy od małych dzieci, będących w domach familijnych państwa młodych. Młode panienki biorą suknie bez trenów, jakie obecnie zaczynają upowszechniać się na wieczorach; młode mężatki noszą suknie z trenami dla oznaki, iż poprzestają na tańcach poważnych jak kontredans.



N. 16. Półeczka ozdobiona szlakiem szydełkowym.



N. 17. Rękaw z przemarszczanym mankietem.



N. 19. Koszyczek z pudełka do cygar.

N. 5. Ubranie dla dziecka.

Sukienka biała batystowa ozdobiona haftowanemi falbankami po 6 c. szerokości; szarfa z kolorowej materyi.



N. 20. Przód do ryc. 31 w N-rze 20.

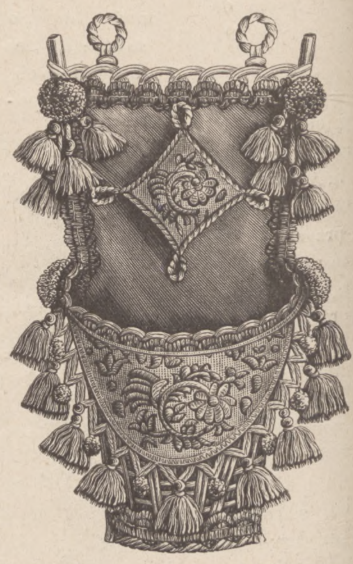
N. 6. Ubranie dla dziewczynki.

Sukienka plisowana z gładkiego kolorowego batystu, z tuniką i bluzką z batystu w rzucik; sze-

roki kołnierz haftowany; pasek i kokardy z kolorowej wstążki. Bukieciki z kwiatów dopełniają przybrania.

N. 7. Ubranie ślubne dla młodej osoby.

Suknia z muślinu indyjskiego, z szerokim garnirunkiem z bufek i falbaneczek; stanik



N. 15. Koszyczek do robót. Patrz ryc. 22.

bluzkowy z przemarszczonym plastronem, pod szyją wysoka suta kreza; rękawy z odstającemi bufami. Pasek haftowany atłasowy. Wianeczek mirtowy, przysłonięty welonem, spadającym na twarz.



N. 18. Rękaw depełniony bufką, do sukni ryc. 45.

N. 8. Ubranie do złotego wesela.

Suknia princesse z popielatego atłasu, przybrana wzdłuż przodu koronką, kołnierz i mankiety point Duchesse. Czepeczek koronkowy ze złotym dyademem i welon haftowany złotem.

N. 9. Ubranie do srebrnego wesela.

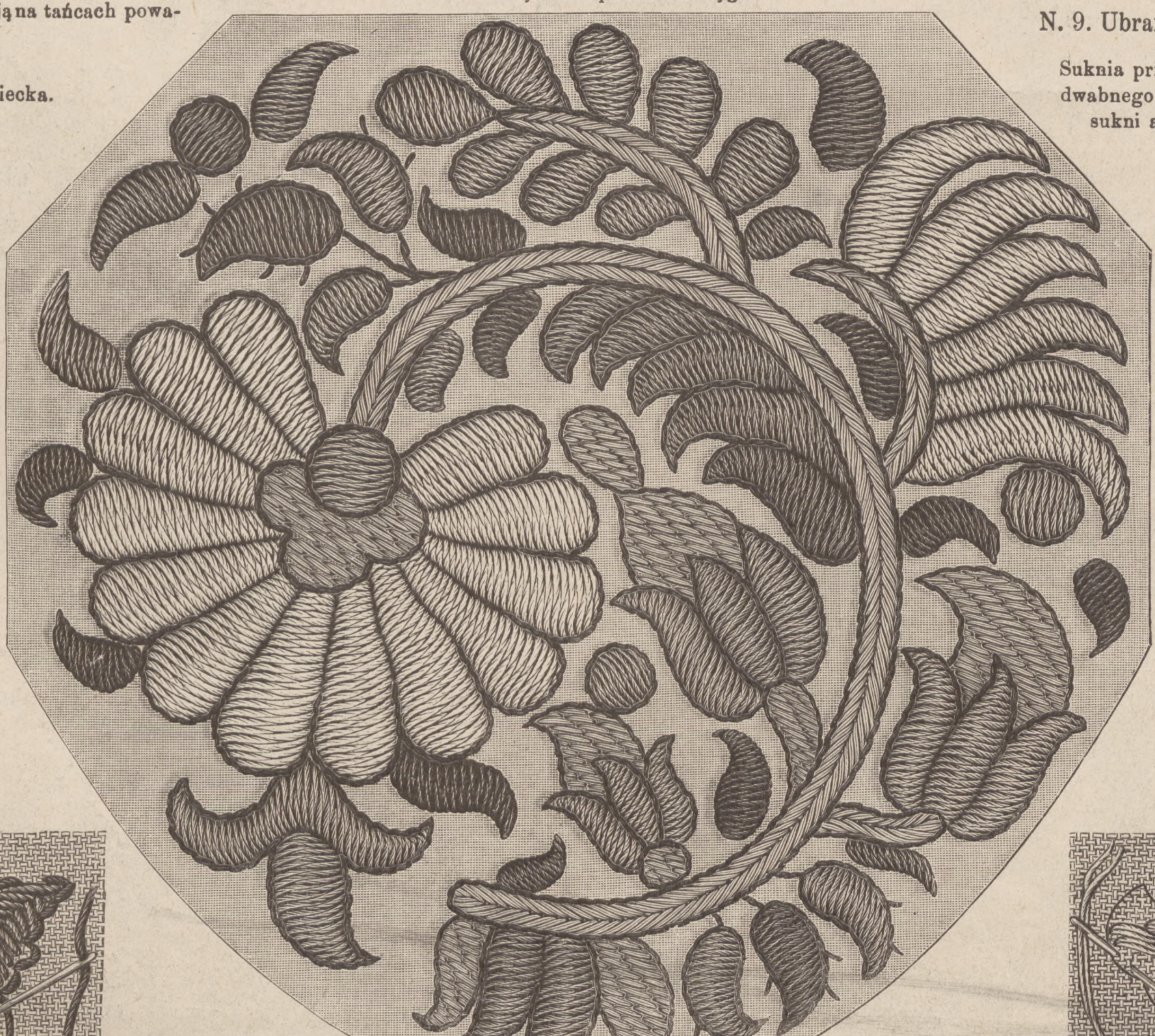
Suknia prinçesse z jasno-popielatego jedwabnego repsu i takiegoż atłasu; przód sukni atłasowy haftowany srebrną nitką. Do przybrania prawdziwa koronka 6 cent. szeroka. Na głowie długa barbka blondynowa przypięta srebrnemi kwiatami.



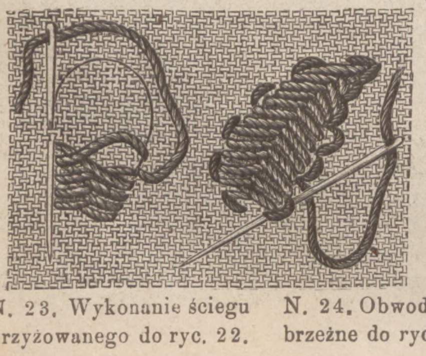
N. 21. Plecy do ryc. 32 w N-rze 20.

N. 10. Sukieneczka dla małej dziewczynki.

Odrobiona z blado-niebieskiego kaszmiru, ze

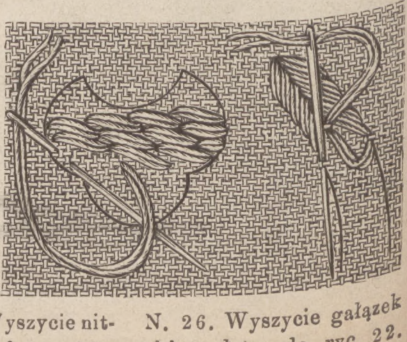


N. 22. Haft „Mossul”. Patrz ryc. 23—26 i ryc. 15.



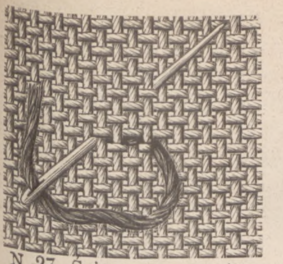
N. 23. Wykonanie ściegu krzyżowanego do ryc. 22.

N. 24. Obwodzenie brzeżne do ryc. 22.

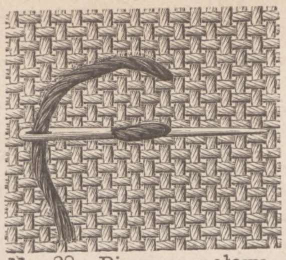


N. 25. Wyszycie nitką złotą do ryc. 22.

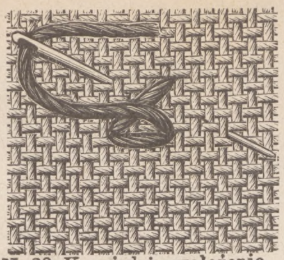
N. 26. Wyszycie gałązek nitką złotą, do ryc. 22.



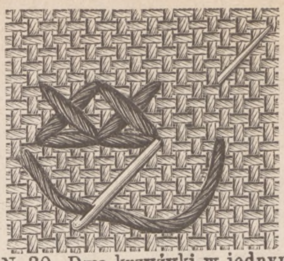
N. 27. Ścieg w prawą stronę, do ryc. 33.



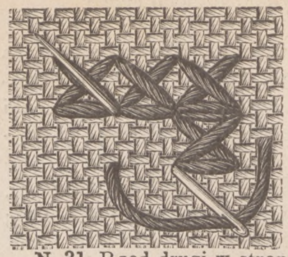
N. 28. Pierwsza połowa krzyżyka, do ryc. 33.



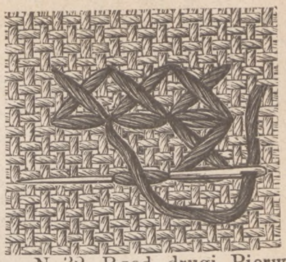
N. 29. Krzyżyk i przełożenie igły na ścieg dalszy do r. 33.



N. 30. Dwa krzyżyki w jednym rzędzie a dalej podług ryc. 27.

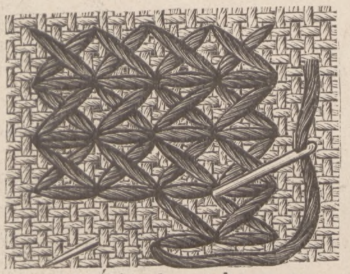


N. 31. Rzęd drugi w stronę lewą, do ryc. 33.



N. 32. Rzęd drugi. Pierwsza połowa krzyżyka.

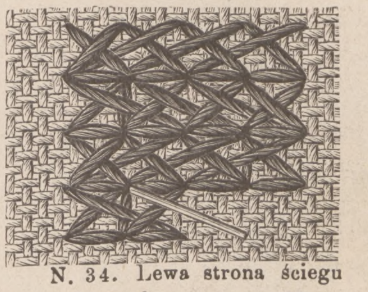
stanikiem bluzkowym suto garnirowanym przy wykroju, przepasanym szarfą. Na główce opaska atłasowa spięta bukiecikiem stokrotek.



N. 33. Ścieg krzyżykowy na dwie strony. Prawa strona. Patrz ryc. 34.



N. 35. Szlak ściegiem krzyżykowym na dwie strony. Patrz ryc. 27—34.



N. 34. Lewa strona ściegu krzyżykowego ryc. 33.

N. 11. Ubranie dla mężatki na wesele.

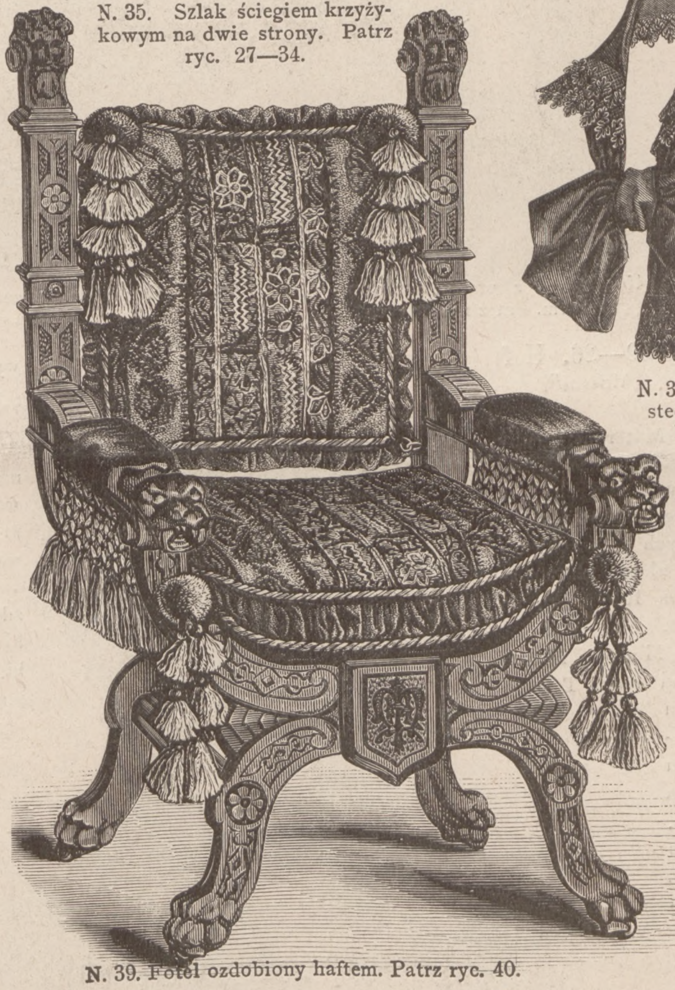
Suknia z adamaszkowej materyi i gładkiego atłasu, ma przód cały złożony w fałdy; stanik z baskiną zakończony u dołu szarfą przewiązaną podług ryc. 11. Chusteczka z crêpe de chine garnirowana suto koronką.

N. 12. Ubranie dla druchny.

Spódnica z gładkiej materyi lub tarlatanu tunika i plastron przy staniku z gazy deseniowej. Stanik pluszowy przy wykroju szyi i przy rękawkach oszyty puszkiem łabędzim. Girlandy z kolorowych róż i ciemnych liści.



N. 37. Kołnierz chusteczkowy z przemarszczanej materyi.



N. 39. Fotel ozdobiony haftem. Patrz ryc. 40.



N. 38. Kołnierz chusteczkowy z gładkiej materyi.

N. 13 i 37. Kołnierz z materyi przemarszczanej.

Na podstawie ze sztywnego tiulu z tyłu 11, w końcach 5 cent. szerokiej, 50 cent. długiej, przyszyty jest kołnierz z przemarszczanej materyi surah. Kokarda ułożona ze skośnego kawałka materyi 20 cent. szerokiego, 60 cent. długiego, oszytego koronką, wywodzoną na tiulu podług ryciny 13.

N. 14. Woreczek do robót.

Do denka z grubej tektury formą owalną 15 cent. długiego, a 7 szerokiego, przyszyte są boki nadmarszczone z kawałka welwetu 15 cent. szerokiego, 68 długiego, ozdobionego haftem. Górny brzeg ściągnięty na elastykę 40 cent. długą, zszywa się z górną połową woreczka 17 cent. długą, a 70 szeroką, daną z oliwkowego atłasu, ściągniętą na sznur jedwabny. Na zeszyciu dana riusza atłasowa i frendzla z kwaścików; do ujęcia woreczka służą uszy kręcone ze sznura.

N. 15. Koszyczek do robót do zawieszenia przy stoliczku do szycia.

Koszyczek bardzo dogodny do włożenia robótki, lub przyborów do większej roboty, można zawiesić na ścianie przy stoliku, albo we framudze okna. Model odznaczający się bardzo zgrabną formą, pleciony był z cienkiej złoconej trzcinki; ścianka tylna liczy 34 cent. długości, szerokości u góry 21 u dołu 9 cent.; podszycie stanowił atłas ponsowy, brzegi oszyte torsadką wełnianą kolorową. Przód koszyczka zdobi lambrekina zakończona kwaścikami, w środku 11 cent. szeroka, haftowana kolorowym jedwabiem podług ryc. 22. Takiż haft powtórzony na poduszeczce do igieł, zawieszonej u góry.

N. 17. Rękaw z przemarszczanym paskiem.

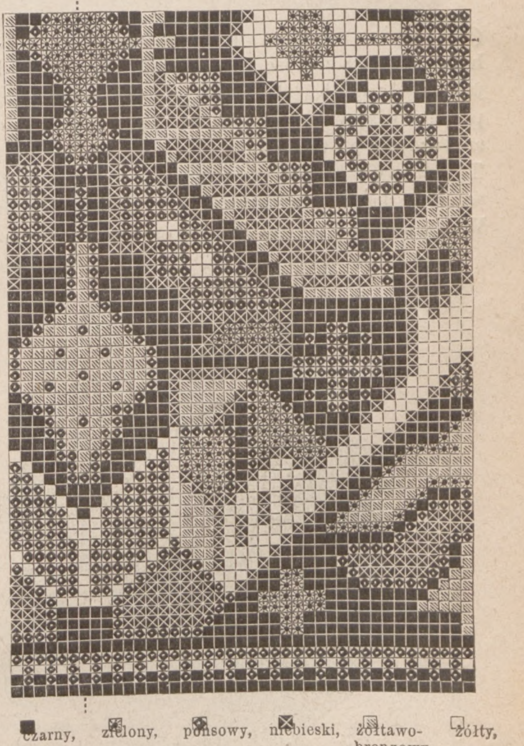
Przemarszczony pasek rękawa zakończony wypustką, 7 cent. szeroki, podszywa się gładko podszewką i zapina z boku na haftki. Rękaw otwarty na 12 cent. wzdłuż, ozdobiony naszyciem ze sznura, zakończonego kwastami.



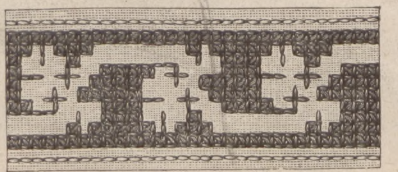
N. 41. Deseń na szlak do dywana ryc. 16 w N-rze 20.



N. 36. Serwetka wyszyta szlakiem krzyżykowym na dwie strony. Patrz ryc. 35.



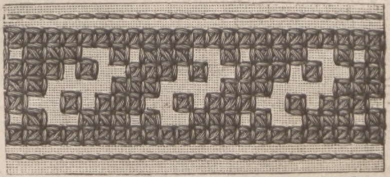
N. 42. Deseń na tło dywanu ryc. 16 w N-rze 20.



N. 43. Szlaczek ściegiem włoskim.



N. 40. Haft na pluszu odpowiedni do fotela ryc. 40.



N. 44. Szlaczek ściegiem włoskim.

N. 19. Koszyczek z pudełeczka od cygar.

Płaskie pudełeczko od cygar zużytkować można na koszyczek przedstawiony na ryc. 19: do przykrycia strony wewnętrznej służy atłas ponsowy, z wierzchu zaś boki koszyczka pokryte są kanwą piaskową z wyszyciem krzyżykowem; kwaściki dodane z włóczki kolorowej. Pałączek dany z paska grubej tektury, 35 cent. długiego, a 3 szerokiego, pokrytego atłasem i paskiem kanwy; w rogach koszyczka i przy pałączku dane kolorowe pompons.



N. 45 Suknia z przemarszczonym plastronem. Patrz rękaw ryc. 17.

N. 46 Suknia ze szmizetkowym plastronem.



N. 47. Suknia z gładkim vêtement dla panienki lat 12—15.

N. 22—26. Haft „Mossul".

Materyał: gruby jedwab kordonkowy w żywych lecz nie nazbyt jaskrawych kolorach; nici złote, płótno, atłas lub t. p. na tło.

Miasto Mossul nad rzeką Tygrem (w Turcyi azyatyckiej) jest ojczyzną tego rodzaju haftu, do dziś jeszcze bardzo mało znanego w krajach zachodnich. Pierwszy deseń takiego haftu przedstawiamy czytelniczkom na ryc. 22; można zużytkować go na poduszeczkę, lambrekiny lub t. p. Tło stanowi płótno dość grube, na którem gęsto wyszyty deseń przedstawia się bardzo elegancko. Wykonanie haftu jest bardzo oszczędne, bo na lewą stronę przejmowane są ściegi bardzo małe, przyczem wychodzi bardzo mało jedwabiu. Sposób wyszycia podaliśmy szczegółowo na kilku rycinach; ryc. 23 wskazuje wyszycie ściegami ściśle krzyżującemi się zsobą; brzegi liści otacza ramka ze ściegów jedwabiu czarnego danych podług ryc. 24, dwoma rzędami stanowiącemi jedną całość. Rycina 26 uczy wyszycia gałązek nitką złotą, i tu także na lewą stronę przejmuje się maleńkie ścieżki, z prawej zaś wychodzą ściegi podobne do ściegów płaskich i dają się rzędami tam i napowrót zaczynając od góry do dołu. Rycina 25 uczy wyszycia innego ściegu, który idzie trochę skośnie i zajmuje po cztery nitki wzdłuż a po dwie na wysokość. Wyszywając deseń wyszywa się najpierw części najszersze, a następnie zapełnia rogi i konty krótszemi lub dłuższemi ściegami odpowiednio do formy.

N. 27—36. Serwetka wyszyta ściegiem krzyżykowym, jednakowym na dwie strony.

Ryciny 27 do 34 uczą nas szczegółowo nowego rodzaju ściegu krzyżykowego i tak dokładnie wskazują każde założenie igły, każdy kierunek nitki, iż opis przy tem jest zbyteczny. Jakkolwiek na ryc. 27 — 34 igła odrazu cały ścieg zajmuje, to jednak równość i dokładność roboty wymaga wszycia w krosienka i przekładania igły jak w zwykłej robocie krzyżowej, osoby bardzo wprawne w tego rodzaju roboty, mogą obejść się bez krosienki. *(d. n.)*



N. 48. Suknia z upięciem nakształt szarfy.



N. 49—51. Uczesanie, chusteczka i naszyjnik. Patrz ryc. 52.



N. 52. wyszycie na aksamitce do ryc. 51.



N. 53. Kapotka z ażurowej słomki.



N. 54. Berecik z angielskiej słomki.